

Pomorski
Magazyn
Artystyczny

1/2025 (13)
Kwartalnik

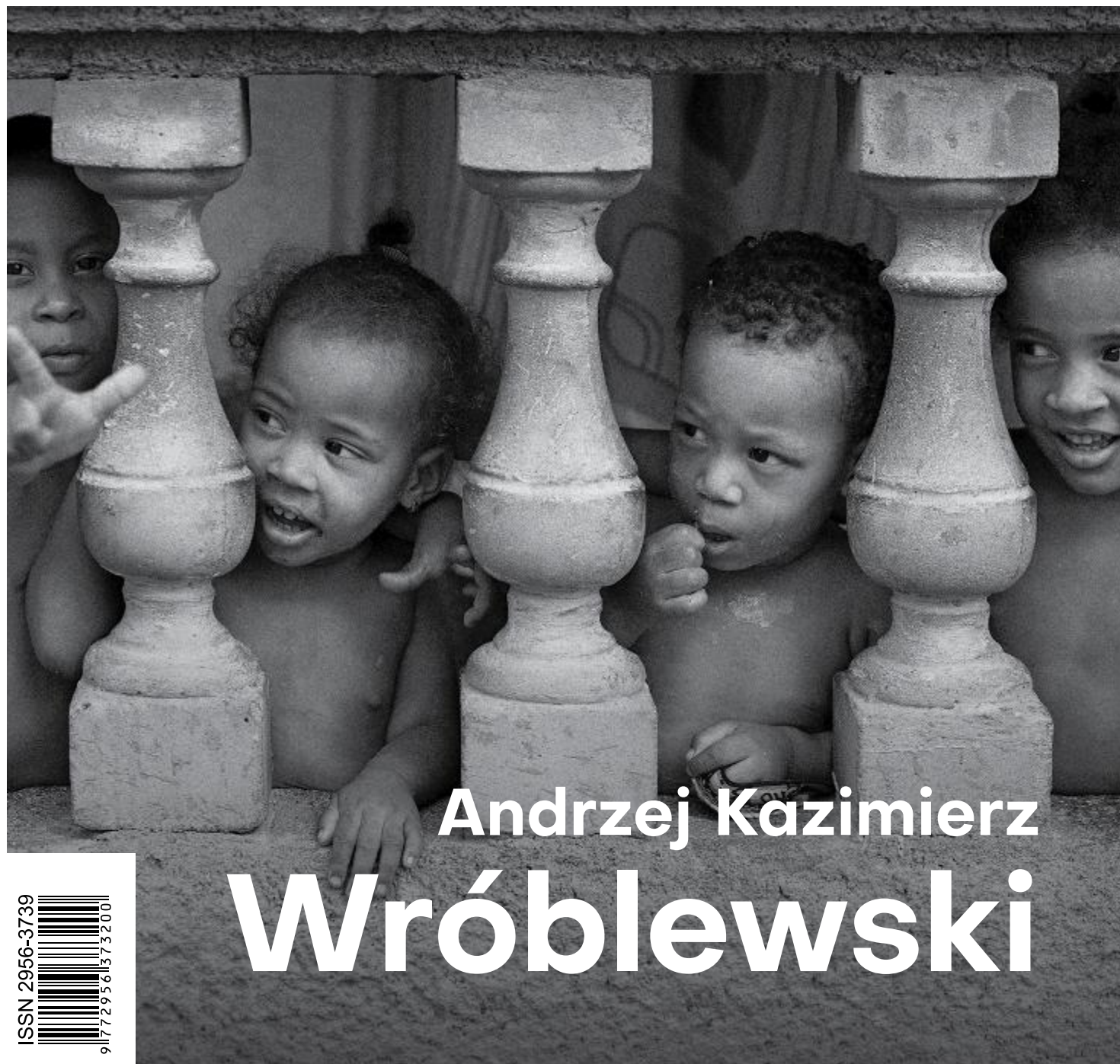
1/25

Baran
Bartelik
Graham/ Gaik/ Głuszczyk

Krzyżyńska
Miłkowski
M. Żakiewicz

Stoż

literatura | sztuka | krytyka | życie społeczne



Andrzej Kazimierz
Wróblewski



Spis treści

- | | |
|---|---|
| <p>3 Wiersze
Józef Baran</p> <p>6 Ćwierć wieku poezji
Z Józefem Baranem rozmawia Tadeusz Dąbrowski</p> <p>12 Między słowem i materią
Tomasz Miłkowski</p> <p>16 Artysta „Słowa” 1/2025
Andrzej Kazimierz Wróblewski</p> <p>19 Lista rzeczy do niezrobienia
z Anetą P. Groszyk rozmawia Wojciech Boros</p> <p>20 Wiersze
Aneta P. Groszyk</p> <p>22 Obrazy z Okras(s)ą
Olga Krzyżyńska</p> <p>24 Zaproszenie od B.B.
Waldemar Chyliński</p> <p>25 La Plata. Droga ciszy
Beata Bartelik</p> <p>27 Kobiety w oczach kobiety
Zofia Watrak</p> | <p>13</p> <p>30 Najnowsze wiersze starego poety
Kamila Gaik i Karolina Głuszczyk</p> <p>31 Wiersze
Desmond Graham</p> <p>34 Polscy Ormianie w powojennym Gdańsku
Maciej Żakiewicz</p> <p>37 Krajoznawstwo
Wojciech Brydak</p> <p>39 Orientacja na Konopnicką
Wojciech Futek</p> <p>41 Kaszuby i Kaszubi
Wojciech Futek</p> <p>44 Czas Otwarcia
Artystyczna Podróż Hestii</p> <p>49 Ogłoszenie nominacji do nagrody Literacka Podróż Hestii</p> <p>50 Sztandar z ortalionu
Władysław Zawistowski</p> |
|---|---|



Katarzyna Siergiej w przedstawieniu *Medea, moja sympatia* | fot. Sebastian Góra

Na okładce strona 1 **Andrzej Kazimierz Wróblewski** fotografia ze zbioru *Portret rzeczywisty*
Na okładce strona 4 **Andrzej Kazimierz Wróblewski** fotografia ze zbioru *Portret rzeczywisty*
Andrzej Kazimierz Wróblewski jest artystą bieżącego numeru „Słowa”

Redaguje zespół: Jacek Borzych, Wojciech Brydak, Wojciech Futek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji)

Współpracują: Wojciech Boros, Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski, Dorota Sobieniecka, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny: Paweł Pacholec

Wydawca: Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej, Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail: stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

**ERGO
HESTIA**



ARTYSTYCZNA
PODRÓŻ
HESTII
Mecenas ERGO Hestia Sopot



Patronat

Mecenas

Partnerzy

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

Fundacja Artystyczna Podróż Hestii

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki
Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie

Józef Baran

SOPOT 2025

morze wycisza kołysze
koi
dlatego patrzę dziś przez lunetę
z takim spokojem
na moje statki i łodzie
jak powracają do zatoki
z dalekich rejsów
długiego życia

niektóre
już przycumowane
na stałe

uwijają się
tragarze wspomnień
wyładowują skrzynie i kufry

a tam na ławeczce
nadmorskiej
siedzi sam
siwy pan Staff
zaczytany w mapach pogody
przytknął tajemniczo
palec do ust
i robi „pst”
gdy go pytam
po co
to wszystko?

POCZTÓWKA Z SOPOTU

– żonie Zosi

miasto szklanych domów
nieważkich jak bańki tęczowe
wydmuchane z przestrzeni
z tysiącami okien
w których odbija się
dziś lekko przychmurzone niebo

stoiemy nad brzegiem morza
podobni parze z Delft
sztormowy wiatr
dyryguje
falami
i tańczącymi nad naszymi głowami
mewami

w górze na pomoście mola
trwa wędrówka ludów
w stronę chmur
jedni wracają
inni znikają

dwie siostry zakonne
w białych szatach
robią sobie
selfi na tle
nieba

policzalne są już nasze
dni i noce

i morze zdążyło się
przesunąć
za nasze plecy
jak nasze cienie

choć przed pół wiekiem
gdy odbyły się tu nasze zaślubiny z Bałtykiem
rozpościerała się przed naszymi oczami
nieprzeliczona ilość czasu
w wielkiej niezapisanej księdze wód
a słońce krzesło w naszych oczach
radosne iskry na pełnym morzu
w którym odbijaliśmy
się nieskończeni

1974/2024

TAKIE CZASY

Motto:

*Zniknie przepętnie obfitość rozmaita
Skarby i siły przewieją, ogóły całe zadrzą,
Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie.
Dwie tylko: poezja i dobroć i więcej nic*
(C. K. Norwid)

coraz więcej w nas świątyni
zamienionych na bazary i banki
a kupcy i kupczykowie mali
z insygniami kaptańskimi
wylegli na
place targowe

każdy sprzedaje kupuje
kupczy czym się da
co ma
pod ręką
na języku

handel wymienny trwa

marketing stał się nauką przenajświętszą

i choćby Chrystus był sturęki
nie dałby rady rozpędzić
tłumów

nawet miłość
bywa dziś
rozliczana
co do miligrama
na kupieckich szalach

– zdradź mi
proszę
złotko
na uszko
jakie twoje konto
a ja ci powiem
jak
bardzo cię kocham

nasze życie
pod koniec
uklepane na płask
jakby młotkiem
na kowadle
choć takie było przestrzenne
wieloznaczne bogate
w wyobraźnię która nigdy nie
dała się zakleszczyć
w żadnych granicach

żywo pachniały chwile
igły na choince
miały smak
śpiewność gwieźdźdźdź
rozciągliwość cierpienia
rozkoszy żar

jakimi słowy
oddać te wszystkie blaski
niegdysiejszych podróży
żeby nie zubożyć
nie spłaszczyć
na kowadle
nie zamienić
w bezwartościową
monetę
ubitą na płask
która na dodatek
już dawno wyszła z obiegu

JA, HERMASZEWSKI

z ośmioma krzyżykami na plecach
należę już do elitarnego grona
astronautów

mam szansę
polecieć na Księżyc
i dalej
jak trzeba będzie

coraz częściej
bania księżycy nad miastem
kusi perspektywą
nieziemskich odlotów

PYTANIE OSTATECZNE

jeśli już raz
zdarzyłeś się
w mijance wieków
wśród mrowia gwiazd

nieprawdopodobny zbieg
kosmicznych trafów

dlaczego miałbyś wątpić
w ciąg dalszy
tej nieprawdopodobnej historii
który nie śnił się nawet teologom

i czemu miałbyś nie wierzyć
że wszystko może się jeszcze przydarzyć
co najbardziej niewiarygodne
z punktu widzenia
oka i szkiełka ziemskiego?

Józef Baran

Wyrafinowany poeta, wierny sobie, swoim czytelnikom i słowom, które ocalają światy. Nie stara się nikogo naśladować, jest sobie-własny, jedyny, niepowtarzalny i mówi do swoich czytelników językiem prostym, zrozumiałym, ale jednocześnie nad wyraz pięknym, lirycznym i czułym.

Ta poezja nie jest ani na pokaz ani na jakiekolwiek sztandary. Jeśli ktoś jej jeszcze nie poznał, może – choćby wybiórczo – nadrobić tę zaległość dzięki najnowszym wierszom Józefa Barana, które redakcja „Słowa” otrzymała od poety do premierowej publikacji.

A po lekturze polecamy jeszcze unikalną płytę *Ćmy szalone*, na której „Grajek” (Mirosław Kalisiewicz) ze swoim zespołem wykonują piosenki, specjalnie skomponowane – przez Mirosława Kalisiewicza oraz Waldemara Dąże – do wierszy Józefa Barana, a jego teksty recytuje również Anna Dymna.

Nagrania zrealizowano w studiu Polskiego Radia w Krakowie w roku 2024. „Muzyka to cisza wszechświata (...) nie ma życia bez muzyki” – napisał na obwolucie płyty poeta. Bo *Grajek i poeta* (pierwsza piosenka na płycie) to przecież doskonałe i naturalne połączenie.

Wojciech Futek

Ćwierć wieku poezji

Z Józefem Baranem rozmawia Tadeusz Dąbrowski



Józef Baran (z prawej) i Mirosław Kalisiewicz | fot. zbiór M. Kalisiewicza

Tadeusz Dąbrowski: Zaczniemy od tego, że poznaliśmy się dwadzieścia sześć lat temu i od tamtej pory widzieliśmy się może ze trzy razy.

Józef Baran: Pamiętam, że wtedy spotkałem cię jako juror w konkursie poetyckim w Świebodzinie. Byłeś albo uczniem ostatniej klasy liceum, albo już studentem pierwszego roku polonistyki.

To był grudzień 1998 roku, byłem na początku studiów.

No właśnie, byłeś chłopakiem. Jako przewodniczący jury upierałem się, żeby jednak twoje wiersze otrzymały pierwszą nagrodę. Była tam, pamiętam, jakaś Agnieszka, która dostała drugą. Przysłała takie ładne wiersze...

...o miłości.

Tak, takie zgrabne. Natomiast twoje miały to coś. Nie bardzo wiedziałem, co to jest, ale teraz, po latach, gdy czytam twoje wiersze wybrane, wiem, że to jest po prostu talent, który wspaniale się rozwinął. Ten dar polega na tym, że mówisz i twoje słowa wiążą się w organiczną całość. To nie jest wyłącznie sprawność warsztatowa. To jest jakaś maź między słowami, zdaniem, metaforami, jakieś spoiwo, które widać we wszystkich okresach twojej twórczości. Rozpoznaje się, że to mógł napisać tylko Tadeusz Dąbrowski.

Podoba mi się ta metafora mazi. Jest somatyczna i zakłada, że język poetycki jednak spaja rzeczywistość. Pokazując związki między rzeczami, nie pozwala się światu rozlecieć.

Maż sprawia również, że elementy wiersza i rzeczywistości są naoliwione, sprawnie współpracują. Bez poezji świat zastyga, zaczyna skrzypieć. Zwróć uwagę, jaki jest poziom debaty publicznej, jakim językiem posługują się politycy.

Józef Baran: Minęło tyle lat... Cieszę się, że tak się rozwinęłaś i jesteś klasykiem swojego pokolenia. Ja jestem już starcem, chociaż wciąż utrzymującym się na powierzchni.

A ja czuję się tak, jakbyśmy nie widzieli się rok, może dwa, choć rzeczywiście minęło ćwierć wieku. Czy masz poczucie, że w tobie jako poecie coś się przez ten czas zmieniło?

Przechodziłem przez dwie groźne choroby – nowotwór dwadzieścia dwa lata temu, łącznie z operacją i chemioterapią, i lat temu sześć. Właściwie od operacji i chemioterapii stąpałem po kruchym lodzie, wydaje mi się, że żyję na kredyt. Obchodzę się ze sobą ostrożniej, nie używam tylu napojów wysokowych. Nie palę. I przestrzegam diety, bo nie mogę pewnych rzeczy jeść po operacji. Jednocześnie nie opuściła mnie pogoda ducha, co widać wyraźnie w moich nowych wierszach.

Czy to doświadczenie kruchości życia wpłynęło tylko na twoje widzenie świata, czy również odbiło się na twojej poetyce?

Czasami się martwię, że tracę poczucie humoru. To jakiś uszczerbek. I zdaję sobie sprawę, że w każdej chwili mogę zostać stąd zabrany.

Abstrahując od choroby, czy jesteś w stanie dostrzec, jak twój wiersz się zmieniał, poczynawszy od debiutu w 1974 roku? Bo ja mam wrażenie, że Baran był właściwie od początku ukształtowany. To rodzaj wiersza, formalnie Różewiczowski, ale używanego do zupełnie innych celów, ponieważ ty jednak, nieco upraszczając sprawę, piszesz wiersze afirmacyjne.

Tak! W odróżnieniu od Różewicza, który pisał wiersze pesymistyczne. Wprawdzie miał powód – Holokaust, Miłosz go zapytał: „A czy po Holokauście można zjeść obiad?”. Tadeusz twierdził, że trzeba stworzyć nową poezję, ale potem – w okresie małego realizmu – też nie był zadowolony. Nawet po 1989 roku był zawsze wykrzywiony.

Wrócił po długiej przerwie doskonałym tomem *Płaskorzeźba*, ale zgadzam się, że jego poezja była zawsze krytyką cywilizacji. Na końcu tak radykalną, że pożerającą sam wiersz. Te kolażowe poematy faszerowane dziennikarstwem, publicystyką, cytataми z popkultury. Rozumiem to jako eksperyment artystyczny, jako happening – wiersz, który pokazuje śmierć poezji na żywo, „live”, który wchłania toksyny popkultury i nie jest w stanie ich zmetabolizować. Zgoda!

Ale dla „zwykłego czytelnika” mogło to być nieznośne.

Można by powiedzieć, że skoro czasy są francowate, to i wiersz ma być taki. Ale czy poezja jest sztuką mimesis? Ja jednak uważam, że poezja odrywa się od ziemi, od codzienności, owszem, powinna stamtąd wychodzić, ale potem jednak dostawać skrzydeł. U Różewicza tego nie ma. Stachurę nazywał pastuszkciem, który gra na fujarce. Dystansował się wobec Leśmiana. Wiem, ile zawdzięczam Różewiczowi, ale za jego poezją nie przepadam. Cenię ją bardzo, ale jej nie lubię. Ja bym się na tym nie wyżywił, nie znalazłbym w tym pisaniu energii do życia. Dla mnie poezja jest paliwem. Powinna karmić i dawać nadzieję. A wracając do polityki... literatura, która wchodzi w alianse z polityką, źle kończy, zamienia się w agitkę. Kiedyś słyszałem ładne określenie na malarstwo, że jest to kawałek niesprzedanej duszy. Powiedziałbym to samo o wierszu.

Głos poety jest mniej słyszalny od głosu ideologów czy celebrytów. Dlaczego więc tyrani tak bardzo bali się poetów? Platon chciał ich wygnąć ze swojego państwa. Poeci w bolszewickiej Rosji trafiali do łagrów. Dlaczego?

Chyba dlatego, że nie da się z nimi nic zrobić.

Niereformowalni.

Niereformowalni. Na przykład w okresie stalinizmu Białoszewski nie pisał wierszy socjalistycznych, bo nie potrafił. Nie umiał. Nie mógł się przymusić.

Ale Wisława Szymborska potrafiła.

Potrafiła. Niedawno „Znak” wydał taki wielki tom po raz pierwszy zawierający wszystko.

Tak, mam go. Włos się jeży, gdy czyta się jej najwcześniejsze wiersze.

Jej mistrzem był zatwardziały komunista Adam Ważyk. Zakochana kobieta. Ale potem ukazuje się jej świetny tomik „Wołanie do Yeti”. I pojawia się u niej, jakby w reakcji na wiarę stalinowską, sceptycyzm, który będzie już towarzyszył tej poezji do końca. Wspaniała poetka. Choć i jej przydarzały się błędy.

A jak to jest z tobą? Nie należałeś do żadnego konkretnego nurtu. Krytycy próbowali umieścić cię w nurcie wiejskim, chłopskim... Wydaje mi się, że obecnie takie określenie może odstraszać. Choć jednocześnie uważam, że prowincjonalność, jeżeli się ją przepracuje, uczy pokory i zdrowego rozsądku. Weźmy Czesława Miłosza – rozmach jego talentu w dużej mierze wynikał ze zderzenia lokalności, tej kameralnej litewskości, z wielkim światem. Jesteś

rówieśnikiem Nowej Fali, ale nie masz na koncie wierszy zaangażowanych w sprawy społeczne. Postmodernizm, który ukształtował poezję lat 90. i dwutysięcznych, właściwie cię ominął. Jakbyś go nie zauważył. Jaka jest recepta Józefa Barana na nieuleganie modom?

W latach 70. XX wieku była pewna moda na rodzimość. Dostawał wtedy nagrody państwowe Tadeusz Nowak. Ten nurt chłopski był eksponowany, a nawet promowany. Do tej szkoły należał także Harasymowicz. Ja wtedy dopiero zaczynałem pisać i chociaż robiłem to po swojemu, niezamierzenie wstrzeliłem się w pewien trend. Byli też poeci, którzy wywodzili się z miasteczek, jak Adam Ziemiański z Nowego Sącza.

Nie dostrzegam w twoim poetyckim funkcjonowaniu żadnej strategii. Są poeci, którzy kalkulują, co ile lat powinni wydać tomik, by korzystnie wpłynęło to na ich pozycję, bo wiadomo, że zbyt często też niedobrze, zbytnia łatwość w pisaniu nie przystoi poecie wybitnemu... Niektórzy przestają pisać na całe dziesięciolecia, robiąc – niekiedy przy wsparciu krytyków – fetysz ze swojego milczenia. Ty byłeś i jesteś bardzo hojny dla swoich odbiorców, publikujesz zarówno rzeczy nowe, jak i wybory wierszy, a także zapiski z podróży, dzienniki, rozmowy.

Owszem, drukuję sporo, ale piszę dość rzadko. Nowy tomik powstaje średnio co trzy lata. No ale trwa to już ponad pół wieku, więc jest z czego wybierać. Staram się dbać o czytelnika. Tego wiernego i tego nowego.

Czytelnik jest największą nagrodą dla pisarza.

Właśnie! Ja teraz puszczam wiersze na Facebooku. Zamieszczam tekst sprzed pięćdziesięciu lat, a ludzie komentują: „Teraz to pan dopiero pisze świetne wiersze”. I tu jestem hojny. Oczywiście ktoś może powiedzieć: „On się z tymi grafomanami, z tym pospółstwem facebookowym zadaje”. Mam to w nosie.

Pamiętam, że zawsze byłeś sceptyczny wobec wierszy na temat wierszy, wobec poezji autotematycznej. Twierdziłeś, że gdy poeta nie ma nic do powiedzenia, to zaczyna pisać o pisaniu... Ale problem jest o wiele poważniejszy, to się zaczęło od Mickiewicza, od *Liryk lozańskich*, które dla mnie stanowią początek modernizmu w poezji polskiej. Od późnego Mickiewicza usłyszeliśmy po raz pierwszy, że wielki poeta niewiele może, że przegrał swoje życie, że ma knebel w ustach, wreszcie – że nie wierzy w słowa. Potem to się rozrosło w osobny nurt. Wiersze o wierszach, zabawy wiersza z samym sobą, stały się samograjem w poezji lat 90. ubiegłego wieku.

Ja tego unikam, jakkolwiek w dziennikach dużo piszę o sprawach związanych z pisaniem.

A co jeśli traktujesz pisanie jako przeżycie egzystencjalne, coś krwistego, organicznego? Wtedy automatycznie pisanie o wierszu staje się pisaniem o życiu. Czy nie?

Ale ja nie chcę się w ten sposób zapośredniczać. Wielu grafomanów pisze o pisaniu, chociaż jeszcze niczego ciekawego nie napisali. To jest dla mnie pewna słabość poezji współczesnej. Oczywiście Różewicz pisał bardzo przekonująco o tym, że nie może pisać, że jego wiersz „ma wiele zadań, / którym nie podoła”. Ale nawet u niego trwało to trochę za długo.

Kiedyś w taksówce do Teatru Wielkiego, gdzie odbierałem z jego rąk „Małe Berło” Fundacji Kultury Polskiej, powiedział mi z rozbijającą autoironią: „Widzi pan, ja od pięćdziesięciu lat piszę o tym, że poezja jest niemożliwa. Da się?”.

To jest jednak słabość.

Kapitulacja wobec rzeczywistości?

Poezja ma rozwiązywać ważne problemy, zagadki egzystencjalne, metafizyczne. Drażnić tajemnicę.

A wiesz, z czego ta twoja postawa moim zdaniem wynika? Z wiary, że... świat istnieje. Że drzewo, które widzimy za oknem, naprawdę tam jest. Tymczasem wielu współczesnych poetów dało się uwieść filozofom, którzy wmówili im, że to, co widzą, jest majakiem lub w najlepszym razie – ich interpretacją świata. Że drzewo za oknem jest konstruktem słownym. Im jestem starszy, tym bliżej mi do Miłosza, który w wierszu *Nadzieja* z cyklu „Świat. Poema naiwne” trzeźwo zauważył: „(...) ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem, / I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamie. / A wszystkie rzeczy, które tutaj znałem, / Są niby ogród, kiedy stoisz w bramie. // Wejść tam nie można. Ale jest na pewno”. Otóż to, jest na pewno. Ogród, a nie tylko słowo „ogród”.

Sądzę, że jestem jednak platończykiem, ale udającym. Wiem, że wiersz ma być ubrany w konkret, w ciało, bo bez tego nie istnieje. Uwielbiam malarstwo niderlandzkie. To drzewo na obrazie wprawdzie istniało w rzeczywistości, ale zostało również wykreowane. To niby-rzeczywistość, inspirowana światem, ale czasem bardziej od niego realna, bardziej zmysłowa.

To jest taki realizm przefiltrowany przez twoje wyobrażenie realizmu. Pewien rezultat, efekt spotkania między konkretnym drzewem a twoim wyobrażeniem drzewa. Pełna zgoda. Wiersz to także wynik spotkania rzeczy z naszym o nich wyobrażeniem, negocjacja granicy między fenomenem a możliwością języka. Co nie oznacza, że bez języka nie ma drzewa.



Tadeusz Dąbrowski | fot. Isolde Ohlbaum

Ty się poruszałeś po świecie, ja też trochę. Swoje spostrzeżenia zawarłem w książce *Podróże z pięciu kontynentów*. Pamiętam, że największe wrażenie robiły te podróże pierwsze, bo byłem tak głodny spotkań z krajami, z kontynentami, z ludźmi. Z upływem czasu już tej emocji i tego entuzjazmu brakowało. Stępiłem swoją wrażliwość, tę gotowość na spotkanie wewnętrznego z zewnętrznym. Twórcza relacja ze światem zależy tylko od nas, od naszego entuzjazmu.

Wydaje mi się, że nadmiar wrażeń, pogoń za nimi, bardzo intensywne życie, przekraczanie granic, zarówno tych geograficznych, jak i mentalnościowych, a nawet obyczajowych – to zwodliwy materiał twórczy. Widzę po latach, że z nadmiaru rzadko powstawały wiersze. One częściej rodzą się z domysłu, muśnięcia, wyobrażenia, z niedosytu. Nadmiar bodźców rozleniwia umysł i stępi wrażliwość. Usypia zdolność selekcji odczuć i myśli na istotne i błahe.

Bo poecie niewiele trzeba...

...do uniesienia i spełnienia. Otóż to. Najbardziej twórcza jest ciekawość własnego losu, niepewność tego, co czai się za rogiem. Ale zmienimy nieco temat: od czasu, kiedy debiutowałeś, ale nawet od czasu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, czyli dwadzieścia sześć lat temu, w życiu

literackim zmieniło się wszystko... Jeszcze w drugiej połowie lat 90. poeta mógł liczyć na szerszy odzew. Można było przeczytać w wysokonakładowej prasie i magazynach literackich, których było kilkadziesiąt, inteligentne szkice o książkach, polemiki, krytycy spierali się o jakiś tomik... Żyli wielcy poeci XX wieku, Miłosz, Różewicz, Herbert, Szymborska. Później miejsce na poezję w kulturze się skurczyło. Bo skurczyła się sama kultura.

Tak... Dzieła czy utwory zostały zastąpione przez projekty!

Nagrody, festiwale, projekty. Nie mówi się już o literaturze, zamiast tego nagradza się autora książki dużą sumą i to jest samo w sobie rekomendacją jurorską, niewymagającą uzasadniania, dlaczego mamy do czynienia z dziełem właśnie, a nie projektem. Prowadzę na Uniwersytecie Gdańskim zajęcia z twórczego pisania i muszę przekonywać studentów, że poeci wciąż żyją i tworzą, że poezja to nie jest jakiś archaiczny język, pamiątka po pradziadkach albo mowa ludzi nawiedzonych. Cały mój wysiłek ukierunkowany jest na to, aby im uświadomić, że poezja jest współczesna ze swojej natury, ponieważ jak sejsmograf rejestruje zmiany, które niepostrzeżenie zachodzą w naszej duchowości, antycypując procesy, który w planie cywilizacyjnym, socjologicznym dopiero nastąpią. Nie czujesz się osamotniony w świecie, który przestał słuchać głosu poety?

Facebook mi pokazuje, że moja poezja jest lubiana. Poza tym możemy sobie powiedzieć dumnie, że jesteśmy tymi ostatnimi egzotycznymi, kolorowymi ptakami. Im jest trudniej, tym nasza praca jest bardziej szlachetna. I jeszcze bardziej potrzebna w czasach, kiedy sztuczna inteligencja zastępuje tę ludzką. Potrafi już wprawdzie napisać recenzję, a nawet pracę naukową. Ale czy stworzy poezję? Czy podrobi twoją osobowość?

Myślę, że algorytm byłby w stanie napisać wiersz w stylu Józefa Barana. Albo Tadeusza Dąbrowskiego.

Mój wnuk mnie zaskoczył, chodzi do pierwszej klasy liceum, ostatnio mówi: „Wpisz, co chcesz o sobie”. No to wpisuję: „Co sądzisz o wierszu *Światy* Józefa Barana?”. I pojawia się jakaś mała recenzja, kompilacja tego, co już o sobie wiele razy słyszałem. Więc o ile sztuczna inteligencja byłaby w stanie skompilować tekst na podstawie iluś moich wierszy, o tyle nie może stworzyć tej cząsteczki niesprzedanej duszy, która jest w wierszu.

Tak. Tylko musi być jeszcze niesprzedana dusza po drugiej stronie. W czytelniku, by mógł rozpoznać, czy ma do czynienia z oryginałem, czy sprawną kopią.

Artur Sandauer by rozpoznał... Ale oczywiście te czasy minęły. Chyba jednak po śmierci Miłosza zaczyna się takie powolne...

Rzeczywiście, Miłosz – na którego przecież tylu młodych poetów utyskiwało, że niemodny, że zarozumiały, że za dużo go jest – wytwarzał jak gwiazda pole grawitacyjne, które obsługiwało całą masę planet i drobnych meteorów.

Adam Zagajewski próbował być taką gwiazdą, ale on nie miał tej osobowości. Miłosz potrafił narzucać swój sposób widzenia. Może i Miłosz nic by nie poradził na dzisiejsze czasy. Już nawet Nobel literacki aż tak się nie liczy, jak wtedy. Harasymowicz mówił, że Miłosz strzela z takiej starożytnej armaty...

Trochę tak było, ale regularnie ją czyścić. Ta lufa była dobrze zakonserwowana. Jego strzały były celne do samego końca.

Z drugiej strony, poezja zawsze była niszowa...

Ale istniał etos poezji.

To jest też kwestia języka, jakim mówi poeta. Poeci Skamandra byli znani, podczas gdy poetom Awangardy brakowało czytelników. To były te dwie drogi, które się rozchodziły. Kontynuacją skamandrytów byli artyści piszący piosenki, typu Kofta, Agnieszka Osiecka.

Zahaczyliśmy o piosenkę. Masz to szczęście, że twoje wiersze są śpiewane.

Przygotowałem dla ciebie płytę, która dopiero co wyszła. Mirosław Henryk Kalisiewicz śpiewa poezję Józefa Barana. On się uparł, że będzie robił takie popularne aranżacje i że trafi w ten sposób pod strzechy. Nie bardzo w to wierzę...

Stare Dobre Małżeństwo poniosło twoje wiersze. Jaki masz stosunek do tego rodzaju wykonania? Bo przecież dobry wiersz nie potrzebuje podpórek. Czy w swoich tekstach, gdy zostały zaśpiewane, usłyszałeś coś nowego?

Czasami muzyka była takim wiatrem w żagle wiersza. Cieszyło mnie, że dzięki muzyce wiersz dociera dalej. Ale dla mnie najważniejsza jest wersja, która znajduje się w tomiku. W tym melanzu sztuk pojawia się niekiedy konflikt, bo wiersz ma swoją melodię – czasami pokrętną, czasami oczywistą – i muzyk też ma swoją melodię. Bardzo trudno o to, żeby te melodie się pokryły. Wiersz ma nie tylko sens, ale również swój klimat. Ty reprezentujesz inny typ poezji od mojego. I świetnie, że się cenimy nawzajem. Zdaję sobie sprawę, że jesteś bardziej skondensowany, bardziej współczesny, gęsty. Ta muzyczność nie odgrywa u ciebie aż takiej roli. U mnie jest więcej uczucia. Jestem bardziej słowiański, prostolinijszy.

Współpraca z muzykami to ciekawe doświadczenie, bo pokazuje jak inny artysta przeczytał twój wiersz, co było dla niego istotne.

Owszem, dlatego zgadzam się na przeróbkę. Andrzej Zarycki, który robił muzykę do piosenek Demarczyk, mówił mi: „Józek, przecież piosenka ma mieć refren”. Odpowiedziałem: „A zrób sobie te refreny”.

Kiedyś wzięła moje wiersze na warsztat Agata Zubel. Skomponowała do nich czterdziestominutowy utwór na sopran i orkiestrę. Ale zrobiła z nich kolaż. Poszatkowała je po swojemu.

Wspaniale! Mnie by to kompletnie nie przeszkadzało. Chyba nie oczekiwałeś, że będzie je recytować jak na akademii.

Jasne. To mi uświadomiło, że można czytać poetów nie tylko z góry na dół, ale również w poprzek...

Co nas też łączy... autobiografizm. Ty też jesteś bardzo skupiony na „ja” lirycznym.

Piszę tak naprawdę o moich zderzeniach ze światem, zarówno takich, do których doszło, jak i takich, do których dojść mogło. Czasem mówię na spotkaniach autorskich, że

bohater liryczny to próbna wersja mnie. Wypuszczam takiego zwiałowcę w teren i patrzę, jak sobie poradzi. Jakie wieści przyniesie.

Fajne.

Przywilej płynący z uprawiania literatury to możliwość przeżycia wielu żyć. Przetestowania rozmaitych scenariuszy. Łatwiej uniknąć pewnych katastrof w życiu, kiedy zaliczysz je w wierszu.

Czytając twoje wiersze, wyczuwa się, że są bardzo samoświadome, w jakiś sposób pedantyczne. Ja nie boję się popełniać gaf. To jest różnica między mną a Adamem Zagajewskim, który jako poeta przemawiał tylko wtedy, kiedy miał coś istotnego do powiedzenia. Popełniam gafy szczególnie w spotkaniach z piękną pćcią. Poetów to piękno ogłupia.

Gafy są ciekawe, to chwile, w których system zawodzi.

Uważam, że wiersze-gafy są również potrzebne w książce poetyckiej. Że jest w niej miejsce na rzeczy słabsze. One też utrzymują architekturę zbioru.

Każdy z nas ma lepsze i gorsze dni, jeżeli książka poetycka ma być wiarygodna, również nie powinna rezygnować ze słabości. Tym tomik wierszy różni się od profilu w mediach społecznościowych. Cała sztuka polega na tym, żeby ta słabość też była wiarygodnie oddana. Mówiąc o słabości wiersza, nie mówię o jego kiczowatości. Słabsze wiersze są jak liny mostu. Nie może być mostu zbudowanego z samych kolumn. Tom wierszy pozbawiony przesęt rzadko pozwala na spotkanie poety i czytelnika.

To prawda. Ale to niewyczyszczenie musi być zamierzone. Recenzenci i krytycy często pisali o mojej szczerości. Że ja w wierszach jestem taki spontaniczny, prostoduszny, jak pastuszek. Otóż oni na ogół nie wiedzą, że szczerość również trzeba umieć zrobić. Znaleźć odpowiednie słowa, żeby ta szczerość zabrzmiała szczerze. Wydaje mi się, że pisarz pisze wiersze z jednej strony dla siebie, z drugiej zaś – dla jakiegoś idealnego czytelnika. Może dla Pana Boga. Bez stylu, czyli osobowości, którą wyczuwa się w języku, nie ma poety. Może być wice Miłozsem i co z tego? Dlatego uważam, że sztuczna inteligencja nie zastąpi poety, bo ten jest za każdym razem niepowtarzalny.

Mam wrażenie, że lubisz uwodzić czytelnika prostotą, która często wiedzie go na pastwę bynajmniej nieprostych pytań?

Tak. Poezja jest umiejętnością uwodzenia czytelnika. Mnie zależy na czytelniku. Staram się pisać dla szerszego odbiorcy, nie tylko dla zawodowców, profesorów, polonistów,

kolegów pokoleniowych. Staram się używać przynęt. Moje wiersze wydają się proste, lecz nie są jednowymiarowe. Od odbiorcy zależy, co z nich wydobędzie.

Potrafisz przywołać sytuację, kiedy czytelnik sprawił ci wyjątkową satysfakcję? Jakieś spotkanie autorskie, list lub mail? Coś, co sprawiło, że pomyślałeś: oto prawdziwa gratyfikacja za mój trud rzeźbienia w słowie.

Miałem takich potwierdzeń bardzo dużo. Napisałem kiedyś wiersz *Spóźnione wyznanie* o tym, że spotkali się po latach staruszek i staruszka. Na ulicy tę opowieść ustyszałem. Ona mówi mu do ucha: „Nawet nie wiesz, jak cię kochałam”. Potem śpiewało ten wiersz Stare Dobre Małżeństwo. I pewnego dnia napisał do mnie człowiek, że właśnie ta piosenka zbliżyła go z dziewczyną, w której się dawno temu kochał. Ona wyszła za innego, stworzyli szczęśliwy związek. On też poszedł w swoją stronę, żona, dzieci... Ale po latach pojechał w góry i gdzieś usłyszał tę piosenkę z moim wierszem. I spotkali się znowu. I pozostali razem.

Co byś, w naszych spragmatyzowanych czasach, odpowiedział moim studentom na pytanie: po co czytać wiersze? A może nie powinno być żadnego „po co”?

Poezja uczy współodczuwania. Pomaga w zrozumieniu bliźniego. Nie tylko poezja. Literatura w ogóle. Nie znalibyśmy drugiego człowieka tak dobrze, gdybyśmy nie znali Szekspira czy Dostojewskiego.

Czytanie wierszy dostarcza nam też wiedzy o nas samych i o tym, ile piękła w nas jest. Piękła, które może pewnego dnia wyjść na wierzch.

Edyta Stein mówiła o Niemcach, że to byli normalni ludzie, ale tak zobojętniali, że nie próbowali dowiedzieć się, co dzieje się w drugim człowieku. W społeczeństwie tak zwanym normalnym mogą się rodzić zbrodnie.

Czy już po trzech dniach pobytu tutaj, w Sopocie, czujesz, że wrócisz znad morza z nowymi wierszami?

Nie mam pojęcia. Gdy jadę do swojej rodzinnej wsi, przez pierwsze dwa tygodnie chodzę, słucham, obserwuję. Dopiero potem ośmielam się coś napisać. Tak samo było ze szpitalami, z podróżami zagranicznymi... Powoli się u mnie ten proces pisarski zaczyna, a później nieoczekiwanie przyspiesza. Nieraz boję się skonfrontować z tym, co zanotowałem, mówię sobie: poczekaj, jeszcze nie teraz. Czuję się wtedy jak łucznik, który mierzy do celu i wie, że nie jest jeszcze gotowy, by wypuścić strzałę.

Sopot, 2024

Między słowem i materią

Tomasz Miłkowski

W gdańskim Teatrze w Oknie od wielu lat odbywają się przeglądy teatru jednego aktora – każdego roku o innym charakterze. Dla przykładu w roku 2018 był to *Mikrokosmos Miedziewskiego*, swoisty benefis uczniów i współpracowników Stanisława Miedziewskiego, niezrównanego reżysera monodramów.

Nic dziwnego, że monodram Ignieje do Teatru w Oknie – już sama przestrzeń tego osobliwego miejsca przy gdańskiej ulicy Długiej zaprasza do występów jednoosobowych. Teatr w Oknie staje się więc Oknem na Monodram. Za tą aktywnością stoją zainfekowane bakcylem monodramu Dorota Sentkowska i Aleksandra Dacył, wspierane przez guru teatru jednego aktora Wiesława Gerasa. W roku 2024 inicjatorki przeglądów zwróciły się do profesor UMK Marzenny Wiśniewskiej, autorki monografii *Archipelag indywidualności. Solowe teatry performerów współdziałających z materią* (Toruń 2022), o przyjęcie roli kuratorki. Tak powstał program przeglądu „Materii ożywionej”, skupiający performerów współdziałających z materią. Bohaterowie wyszli z książki Wiśniewskiej, aby wystąpić w Gdańsku.

W przeglądzie uczestniczyły performerki i performerzy kilku generacji: klasyk gatunku Adam Walny, mistrzyni solowego teatru feministycznego Natalia Sakowicz, posługująca się lalką hybrydową Karolina Sadowska, przez wiele lat związana z Teatrem Wierszalin Karolina Siergiej, rozwijający techniki światła i cienia, założyciel Teatru Łątek w Supraślu Krzysztof Zemło i najmłodszy w tym gronie przedstawiciel lalkarstwa solowego Marcin Tomkiel. Każda z tych osób reprezentuje odrębny sposób istnienia scenicznego z materią. Okazało się, że ta niszowa ścieżka teatru jednego aktora kryje wielką różnorodność form.

Adam Walny jeszcze przed ukończeniem studiów reżyserkich powołał solowy Wielki Teatrzyk Świata, który pierwszą premierę inspirowaną twórczością Ingmara Bergmana *Teatr śmierci* dał już w lipcu 1997. Nazywano go „artystą-autentykiem”, „performerem w świecie lalek i przedmiotów”, choć sam deklaruje się jako off-lalkarz. W Gdańsku przed Teatrem w Oknie na Długiej przedstawił spektakl *Król i błazen* na podstawie *Eskurialu* (Michela de Ghelderode (2021). Ustawił tam wielką kryptę, pod którą skrywała się umierająca Królowa, postać nieobecna w dramacie Ghelderode, ale to z jej perspektywy opisał ostatnie godziny życia i teatralny pojedynek między Królem i Błaznem. Ubrana paradnie w brokatową, mieniącą się purpurą suknię z kryzą i ozdobnym, fantazyjnie wygiętym kołnierzem,



Dorota Sentkowska i Aleksandra Dacył | fot. Sebastian Góra

z pobieloną twarzą, stała się reżyserką spektaklu śmierci. Za wielką suknią, której część poniżej talii okazała się kurtyną, ulokował wodny teatrzyk. To okazałe akwarium, w którym toczyły pojedynek na śmierć i życie ceramiczne lalki wodne (wynalazek Adama Walnego) Króla i Błazna. Wyglądały (nieprzypadkowo) podobnie. Błazen przypominał Króla, a Król – Błazna, jedynie atrybuty władzy i błazństwa pozwalały ich odróżnić.

Królowa-performer animowała ich ruchy, wprawiając powietrze niewidocznym miechem w ruch, dzięki czemu, kiedy wypowiadała ich kwestie, z ust lalek wydobywały się bąbelki powietrza. Lalki jednak nie w pełni poddawały się woli animującego, nie zachowywały się do końca w przewidywalny sposób – bezwładność ruchów w wodzie, nie zawsze powtarzanych w jednakowym tempie wywoływała dodatkowy efekt – ich sposób istnienia stawał się somnambuliczny, jak w jakimś śnie – spowolniony i rozkołysany. Z innego rodzaju ruchem mamy do czynienia w *Romansie* Natalii Sakowicz (Collegium Nobilium, 2021), wykorzystującej swoje doświadczenia choreograficzne. Zanim jednak

Adam Walny w przedstawieniu *Król i błazen* | fot. Sebastian Góra

na scenie zapanuje ruch, performerka i jej lalka nazywana Martą, obserwują widzów wchodzących na widownię. Stoją nieco z boku, na szarej płaszczyźnie wyodrębniającej przestrzeń gry, i wodzą oczami za widzami.

Szara androidalna, gąbczasta lalka przypomina Natalię Sakowicz – jest tego samego wzrostu, jej rysy twarzy są podobne, tylko oczy pozostają martwe, choć budzą wrażenie, że Marta patrzy. Relacje między nimi przebiegają nierówno, czasem ulegają zachwianiu, czasem prowadzą do jedności a czasem obcości, aby na koniec wyrazić się furią destrukcji. Po pięknym wspólnym tańcu, radosnym wybuchu wolności, Marta zostanie rozerwana na strzępy, aby w finale jednak ożyć. Jej korpus przytula performerka do piersi, Marta staje się karmionym dzieckiem, które ssie mleko z matczynej piersi. A może jest wampirem?

Siłą monodramu Sakowicz jest jego niejednoznaczna wymowa, gęsta sieć relacji, wątków, sugestii, które mogą wywoływać odmienne interpretacje. Doprowadzona do perfekcji umiejętność animowania lalki sprawia, że relacje między nią a performerką, budzące się napięcia i falujące emocje tchną autentyzmem.

Inną formę przybiera związek lalki z performerką w spektaklu *Lot* Karoliny Sadowskiej (reż. Aga Błaszczuk, Olsztyński Teatr Lalek, 2021), tworzącej rzeczywistość hybrydową, w której nieożywiona materia i ciało aktorki umiejętnie powiązane przybiera postać ludzko przypominającą żywą istotę. Monodram nawiązuje do losów polskiej pilotki Janiny Lewandowskiej, ochotniczki walk obronnych na początku drugiej wojny światowej, jedynej kobiety zamordowanej w Katyniu. Chociaż nad spektaklem zawisł ciężar śmierci zadanej jej przez morderców w mundurach, spektakl, stara się unikać tonacji martyrologicznej, skupiając uwagę na poszukiwaniu przez bohaterkę własnej drogi. Pojawiają się w nim nawet piosenki kabaretowe na zasadzie kontrapunktu – aktorka, wykonując je z dużym wyczuciem i swadą,

pokazuje inny wymiar tęsknot bohaterki, której „lot” miał trwać tak niedługo.

Jeszcze dalej w stronę kabaretu i komizmu wyprawia się Katarzyna Siergiej w spektaklu *Medea, moja sympatia* (reż. Jacek Malinowski, Teatr Wierszalin w Supraślu, 2012). Nic dziwnego, bo to spektakl oparty na librecie „muzykału” Jeremiego Przybory, łączący czarny humor, wynalazczą animację, muzyczny rytm o kabaretowym zakroju z pastiszem tragedii Eurypidesa. Humor bywa tu jadowity – Jazon jest obrazowany świńskim ogonem, dyndającym w wiadomym miejscu, bo na nic lepszego nie zasługuje, aktorka z łopatą przemierza scenę, podśpiewuje dla kurażu „trupu, trup”, wypatrując kolejnych ofiar. Tak ukazana *Medea* jest spektaklem wywrotowym. Nie chodzi tylko o przenicowanie mitu czy krytykę patriarchalnego świata, ale o odwrócenie czarnej legendy Medei, która z dzieciobójczyni staje się obrończynią godności kobiet w marnym otoczeniu słabych mężczyzn.

Spektakl *Matecznik* (Teatr Łątek, 2022), odświeża inne nastroje, będące dowodem fascynacji Krzysztofa Zemły albumem *Wołkow* (1974), wyborem fotografii Wiktora Wołkowskiego, artysty z wiązanego z Supraślem miejscem zamieszkania i zakorzenieniem w krajobrazie Podlasia. Album dopełniają sugestywne teksty Edwarda Redlińskiego. Zemło sięgnął po to świadectwo urody i siły etycznej tej ziemi, idąc po śladach zostawionych przez twórców albumu, który podzielony został na części zgodnie z podjętymi w nich tematami: Rzeka, Droga, Płoty, Konie, Stogi, Wrony, Drzewa, Krowy, Bociany, Krzyże. Każdy z tych wątków stanowi samodziel-

Katarzyna Siergiej w przedstawieniu *Medea, moja sympatia* | fot. Sebastian Góra

ną całość, stając się ośrodkiem opowieści snutych przez miejscowego gawędziarza-filozofa, dzielącego się swymi refleksjami o świecie i upływającym czasie.

Krzysztof Zemło wciąż szuka nowatorskich sposobów opowiadania za pośrednictwem środków wywiedzionych z różnych źródeł, przede wszystkim z tradycji teatru cieni.



Rozmowa po przedstawieniu *Medei...*, od lewej Tomasz Miłkowski, Jacek Malinowski, Katarzyna Siergiej | fot. Sebastian Góra

Wypróbowuje też rozmaite wersje oświetlania, wykorzystując stare diaskopy i lampy w aparatach do projekcji przeźroczyste, aby znaleźć najbardziej odpowiednie światło. Jego głos z lekkim wschodnim zaśpiewem, jego nieczułościowa czułość, łagodne, rozumiejące spojrzenie skupia uwagę widzów, oglądających cieniową sylwetkę wędkarza sunącego łódką po rzece fotografowaną przez Wołkova albo wypatrujących ptaki polatujące nad polami.

Najmłodszy z uczestników przeglądu, Marcin Tomkiel w spektaklu *Skowyt*: (dramaturgia Malika Tomkiel, muzyka Jakub Olszewski, Nie Teatr w Białymstoku, 2023), nawiązuje do poematu Allena Ginsberga – bohater monodramu nosi jego imię. Spektakl budowany jest muzyką, światłem, nieoczywistością sytuacji. Allen nie mieści się w skrojonych dla niego ubrankach – już w pierwszych chwilach spektaklu w przymierzanym garniturze wygląda obco, nie przylega do uszytego stroju, toteż po zmaganiach pozbywa się tego ubrania-więzienia i szuka siebie w świecie, który go odrzuca. Jak mucha upolowana przez gigantycznego pająka szarpie się w sieci, ulega złudzeniu wielkiej miłości. Niepokojąca gra z przedmiotami, odsyłającymi do innego życia, uwięzienie w trudnych do zrozumienia sytuacjach wzmacnia hipnotyczna muzyka. W monodramie wybrzmiewa świadomość odrzucenia i niedopasowania, poczucie nieuchronnej klęski i bólu: „finalnie i tak gapimy się w telewizor/ nowotwory i narkotyki są miękkie albo twarde/ dotykają piersi, bywają złośliwe/mącą i wyniszczają ciało szybko albo dłużej/ tortury, futro, niedopalony papieros”. Działania z lalkami, ich fragmentami, monitorami, zakleszczenie w metalowej

konstrukcji przypominającej pajęczak – oto świat *Skowytu*, w którym aktor bada możliwości ocalenia.

Sześć spektakli nurtu materii ożywionej, a każdy inny, których mianownikiem jest gra z przedmiotami. Jak ten nurt sytuuje się na tle bogatej tradycji teatru jednego aktora? Otóż wydaje się, że można by wskazać na liczne związki, niepolegające tylko na zasadzie jednoosobowego wykonania. Warto odnotować, że już u zarania nowoczesnego teatru jednego aktora pojawiła się lalka. W monodramie założycielskim tego teatru, za jaki słusznie uchodzi *Wieża malowana* (reż. Jerzy Markuszewski, STS, 1959) Wojciecha Siemiona, obecne były dwie wielkie pałuby, przedstawiające Jasia i Małgosię, kochanków z opowieści, wykonane przez wybitnego scenografa Adama Kiliana. Siemionowi towarzyszyło też kilku muzyków grających na żywo (za sceną), co sprawiło, że zadawano pytanie, czy to na pewno jest monodram. Sprawę rozstrzygnął Ludwik Flaszen, który nazwał Siemiona „teatrem jednego aktora”, tym samym wprowadzając do obiegu ten nowy wówczas termin. Tak czy owak, nie tylko Siemion traktował po partnersku przedmioty, chętnie po nie sięgała należąca do grona klasyków gatunku Irena Jun. Niekiedy nawet z pewnym nadmiarem, czego doświadczyła w monodramie powstałym na podstawie sztuki Tadeusza Różewicza *Stara kobieta wysiaduje*. Stłoczenie zbyt wielu przedmiotów na scenie doprowadziło do upodrzędzenia aktorki, która w końcu zdecydowała się na krok radykalny i uwolniła się od ich obecności. Okazało się, że monodram nie tylko ocalał, ale nabrał życia. Wojciech Siemion także zrezygnował z udziału pałub i grona muzy-



Krzysztof Zemło *Matecznik* | fot. Sebastian Góra



ków w *Wieży malowanej*, kiedy okazało się to organizacyjnie skomplikowane. To oczyszczenie spektaklu ze scenografii i muzyki na żywo nie spowodowało rozpadu monodramu, ale raczej doprowadziło do wzmocnienia jego poetyckiej wymowy, choć pełna forma premierowa zalecała się szczególnie urodą.

Te przykłady naprowadzają na trop istotowej różnicy między teatrem jednego aktora o rodowodzie dramatycznym i teatrem związanym z doświadczeniami teatru lalkowego. Okazuje się, że teatr jednego aktora, choć korzysta z doświadczeń teatru formy, nie jest na te doświadczenia skazany, może się bez nich obyć, gdy tymczasem teatr formy nie może usunąć materii ożywionej ze spektaklu, a jeśli by to uczynił, dokonałby samounicestwienia.

Teatr materii ożywionej z kolei może się obyć bez literatury, ale to nie znaczy, że z niej zawsze rezygnuje. Przeciwnie, przegląd gdański dowodził, że większość prezentowanych spektakli jest zakotwiczonych w literaturze i to często wysokiej próby. Zapleczem pokazanych spektakli były teksty Ghelderode'ego, Redlińskiego, Przybory, Ginsberga, raz jeden scenariusz oparty był na materiałach historycznych, a inny scenariusz powstał z myślą o konkretnej wykonawczyni. Tak więc widać, jak oba te nurty teatru jednoosobowego bywają sobie potrzebne, jak się zasilają i nawzajem karmią. Ich panoramiczny pokaz w Teatrze w Oknie wykazał, że teatr materii ożywionej ma sporo do zaproponowania scenie jednoosobowej, że sprawdza i otwiera nowe ścieżki poszukiwań.

Tomasz Miłkowski

Natalia Sakowicz w przedstawieniu *Romans* | fot. Sebastian Góra

Artysta „Słowa” 1/2025

Andrzej Kazimierz Wróblewski, rocznik 1942. W latach 1961-1965 współpracował z Kielecką Gazetą Codzienną jako fotoreporter. W 1966 roku wstąpił do Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego i czynnie uczestniczył w licznych projektach fotograficznych. Jest członkiem rzeczywistym Fotoklubu RP oraz członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików.

Autor kilkunastu wystaw indywidualnych, brał udział w wielu wystawach zbiorowych oraz uczestniczył w konkursach fotograficznych, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Medal „Za zasługi dla fotografii polskiej” otrzymał w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

Od kilku lat sygnuje swoje fotografie, niezależnie od kategorii i techniki wykonania, jako odautorskie, ponieważ od zamysłu do całkowitego zakończenia wszystko wykonuje

w pracowni autorskiej i ma bezpośredni kontakt fizyczny z tymi pracami.

Dużą wagę przywiązuje do tworzenia w technikach historycznych: gumie chromianowej i platynotypii. Zgłębia procedury fotografii kolekcjonerskiej, starając się sprostać jej trudnym wymogom formalnym. Swoje prace drukuje zapewniając zgodność z międzynarodowym standardem Epson DigiGraphy.



↑ Andrzej Kazimierz Wróblewski | ze zbioru Akt →





Lista rzeczy do niezrobienia

z Anetą P. Groszyk rozmawia Wojciech Boros

Twe teksty mocno stąpają po chodniku, trzymając się twardo spraw codziennych. Konkret w wierszu stanowi o jego mocy?

Siedzi we mnie od bardzo dawna duch pozytywistycznego poety (momentami nawet naturalistycznego sceptyka), który bardzo by chciał, żeby jego sztuka była społecznie użyteczna, przynosiła zmianę i otwierała zaspane oczy odbiorców. A mimo to nadal często piszę jedynie o miłości, choć nie zawsze łatwej, a jeszcze rzadziej pełnej bajkowych happy endów.

Konkret ma, w mojej ocenie, moc dotarcia nawet do osób, które nigdy z poezją się nie zetknęły, jeśli nie liczyć kilku słów przeczytanych w podstawówce. Wyszukane metafory kojarzą mi się z kwiatami zdobiącymi piękny ogród, czasem jednak najpierw trzeba łopatą przekopać grządki, by coś mogło na nich wyrosnąć.

Pierwsze próby poetyckie podjąłeś, będąc jeszcze licealistą. Co cię skłoniło ku temu, by powrócić do wierszy po tylu latach? A może nigdy nie odeszłaś od nich na więcej niż na dwie metafory?

Brak czasu i potrzeba ekspresji były moim motorem napędowym, by wrócić do poezji ze świata prozy, którą nadal składuję w elektronicznej szufladzie. Pisanie w różnych formach towarzyszy mi, odkąd pamiętam. Poezja i proza są sposobami rejestrowania rzeczywistości, manipulowania nią, eksplorowania możliwości, jakie ujawnia. Wiersz z uwagi na swoją zwięzłą konstrukcję wydaje się wymagać ode mnie mniej czasu. Tworzę jeden obraz, a za chwilę mogę przejść do kolejnego, zwiedzać i budować nowe wszechświaty.

Mocne puenty są twoim orężem, stały się nawet inspiracją do jednego z wierszy. Trudniej pisać początki tekstów czy też ich zakończenia?

Najtrudniejsze są chyba środki. Zarówno te liryczne, jak i życiowe. Początki zjawiają się same, często nieproszone, a w głowie, gdzieś na horyzoncie majaczy zakończenie. Po drodze trzeba jednak znaleźć ścieżkę, po której będzie

się krążyć, aż dotrze się do celu. Czasem zdarza mi się zabłądzić lub utknąć. Odkładam wtedy na później takie osierocone wstępy i puenty, dopóki mózg nie dokończy zadania za mnie, procesując możliwości i połączenia gdzieś w tle swojego systemu operacyjnego.

Chętnie bierzesz udział w konkursach jednego wiersza, słamy raczej omijasz – czy forma konkursu poetyckiego ma dla ciebie znaczenie, czy też udział w nich traktujesz jako „zło konieczne”, niezbędne do tego, by zaistnieć w przestrzeni literackiej?

Slam rządzi się swoimi prawami, pokazuje wyraźnie, jak bardzo poezja jest subiektywna w odbiorze. Jak bardzo jest podatna na pogodę, otoczenie czy porę roku, a co najważniejsze – nastroje, zarówno jednostki, jak i całej grupy. Występ przed publicznością, która ocenia utwór i jego przedstawienie na scenie, może jednego wieczoru dodać energii i podbudować ego autora, a drugiego pograżyć twórcę w poczuciu nieadekwatności i odrzec ze złudzeń o zostaniu „wielkim poetą”. Widownia jednego dnia chce politycznych manifestów, innego komedii i rymowanych limeryków, a w niektóre ponure jesienne popołudnia chce po prostu krwi i trudno przewidzieć, czy jej ilość przelana w wierszu będzie wystarczająca. We mnie więc toczy się za każdym razem batalia: chcę dziś opowiedzieć ze sceny kolejną historię, czy jednak zostawić ją na inną okazję?

Dobre wiersze, dalekie podróże i...?

Ludzie, zdecydowanie ludzie. Im głębiej w człowieka tym lepiej. Do środka, pod skórę, gdzie kryją się wszystkie historie. Nie umiem w „small talk” – albo mnie rozmówca zafascynuje i chcę kopać głębiej, odkrywać kolejne warstwy człowieczej cebuli albo odbijam się od powierzchni i idę w swoją stronę. A jednak każdy napotkany człowiek niesie w sobie opowieść, wystarczy ją tylko wydobyć na światło dzienne i ubrać w słowa, by pokazać światu ukryty wewnątrz ogryzek. Opowieść na kolejny utwór można spotkać na każdym chodniku, wystarczy tylko zachować otwarty umysł i oczy.

LISTA RZECZY DO NIEZROBIENIA

Nie mówić z matką o miłości
z Anią o poezji
z szefową o mobbingu
Nie śnić o córce w piekarniku
końcu świata
i wypadających zębach

Nie mów nikomu
co się dzieje w domu
nie chwal się sukcesami
nie płacz
nie stresuj
nie bój

To wszystko już było
Odbitki ze starej kliszy powinny wyblaknąć
martwi ludzie na zdjęciach piją wódkę
pod sałatkę jarzynową
Nikomu już nie ma
się jak poskarżyć
że płacisz
za ich błędy poznawcze

Zaskrzypiały drzwi wejściowe
Klamra od paska kliknęła metalicznie
Ojciec znów pijany
Kolejne uderzenie opadło ze świstem
na odkryte uda
Zagryzam poduszkę
W głowie kottuje się bunt
i mordercze instynkty
Szew po poprzedniej karze znów puścił
Będzie trzeba powiedzieć na SOR-ze
że spadłam ze schodów
uciekając przed komarami
Widują mnie tam od zeszłej zimy
żółta opaska
niebieska karta
Matka wyjechała
z panem Mietkiem z drugiego piętra
Zostały mi jej srebrne kolczyki
Jeszcze ich stary nie sprzedał
Staję nad śpiącym ciałem
zapach czosnku i mentolowych fajek
unoszą się pod sufitem
Nóż w mojej dłoni czeka...

HELENKA

urodziła się na Podkarpaciu
Nie puszczała jej do ludzi
bo człowieki mają kolce

Wyrostała na wilka
można ją było złapać siedząc na kamieniu
pod mostem gdzie najciemniej
gdzie trolle nie rzucają zagadkami
a woda od dawna nigdzie nie płynie

Wiązała czerwone kokardki
na nadgarstku
żeby diabeł nie podchodził
żeby nie wołał
nie kusił
nie mówił już dobranoc

CÓRKA 2021

Minęło kilka lato
odkąd przestałam zachodzić na
cmentarz
Pierwsze śpiochy wciąż złożone
w kartonie

zapomniany pluszak
żółty kocyk
i kilka skrawków

papieru
udowadniają że byłaś
Reszta poszła w ogień:
zaświadczenia
podania
i szpitalne wypisy
Stosy niepotrzebnych kartek
Do pieca!
smoczki

buciki
fioletowe skarpetki
ortezy
strzykawki
i ból
Do pieca

I złote loki
wszystko
dym

Powiedzieli że mam mocne puenty
 że kopia w nerki
 że nie biorę jeńców

Wzruszam ramionami
 W głowie klekot starej polonistki
 co rolowała pod ławką cieliste podkolanówki
 Samo ,h' na dyktandach wchodziło bez błędu
 ze słuchu
 Wstęp, rozwinięcie i zakończenie

Otwieraj drzwi kopniakiem
 Nawet te obrotowe
 I wychodź tak żeby wszyscy widzieli

Pomiędzy deskami okładki miękki brzuch
 którego nikt nie pamięta
 Można w nim schować lęki i wspomnienia
 Mroźne wieczory i tabletki dzień po
 Upchnąć kolanem niedoszte marzenia
 traumy
 i liście
 kilka potłuczonych na miazgę przyjaciół

Podaj sok z wiśni ciekący po palcach
 Podróże za wiatrem który nie zdążył uciec
 Obite kolana
 mordy
 i jabłka
 Chleb bez skórki posypany cukrem
 Krzyk w nocy
 brzdęk szkła
 Sąsiad przez okno wyrzucił krzesło
 butelkę
 i matkę

Zapach gazu łzawiącego kratką wentylacyjną
 wpadł z impetem do łazienki
 Zdzichu przebiegł jeszcze parę metrów
 zanim mu powiedzieli
 że nie wykręca się żarówkę w piwnicy

Puk, puk
 Kto tam?
 Kostucha
 Po co pukasz?
 Żeby wszyscy widzieli.

3CITY

Nowy port
 Ósma rano, niedziela
 Stoik kipów nagrzewa się w bramie
 Krew na chodniku
 Martwych gołębi się nie dotyka
 Plama oleju na zatoce
 Motławą puścili ścieki
 Można się kąpać
 oświadczyła prezydent
 na konferencji ku czci hotelarzy
 Im bliżej plaży
 tym więcej coli w lodach
 Zalało dworzec
 Miasto ostrzega: w tunelu mogą pływać szczury
 W nocy ktoś wyciął drzewa przy wydmach
 Nikt nie słyszał
 zastaniały widok na fale
 Strefa płatnego parkowania wciąż rośnie
 Lisy nie przychodzą do Absyntu
 Łąki kwietne zalane betonem
 Nasadzili krokusów
 Konserwator zabytków nakłada kary
 Stare domy rozpadną się same
 Pożar przy deptaku
 Za sprzedane bułki
 narodowcy dostaną nowe koszulki
 to już trzecie pokolenie cukierników
 Obwodnica w korku
 Do dzików strzela się pod szkołą
 Chodnik pobraża odpływa od budynków
 Ściany pękają turystom na głowy
 Żuraw grozi upadkiem
 kolejny raz straciliśmy Westerplatte

Moje miasto takie piękne

Aneta P. Groszyk

Obrazy z Okras(s)ą

Dzieje się w Towarzystwie Przyjaciół Sopotu

Olga Krzyżyńska

Najnowsze prace sopockiego twórcy Marka Okrassy prezentowane w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sopotu – Dworku Sierakowskich w grudniu 2024 roku, to także nieco malarskiej kuchni: nie tylko skończone obrazy ale i liczne, nie tylko malarskie, szkice.



Marek Okrassa na wystawie w Dworku Sierakowskich | fot. Olga Krzyżyńska

Marek Okrassa – artysta z Sopotu i syn artystów sopockich swoją twórczością nieustannie wpisuje się w klimaty swojego miasta. Wiosną 2024 roku jego praca ozdobiła okładkę „Rocznika Sopockiego”. Pod koniec tego samego roku jego najnowsze obrazy ozdobiły ściany Dworku Sierakowskich. Są to prace z nowego cyklu zatytułowanego „Green Screen”. Pojęcie znane ze świata filmu czy telewizji – to technika obróbki obrazu, polegająca na zamianie tła o w miarę jednolitym kolorze (pierwotnie niebieskim lub zielonym, stąd nazwa) na dowolny obraz. Szeroko stosowana w telewizji (najczęściej podczas prezentacji prognozy pogody i w programach informacyjnych) oraz w filmie (do umieszczania

aktorów w komputerowo generowanym środowisku). Kolor tła to zazwyczaj niebieski lub zielony, ponieważ są one uważane za najmniej podobne do koloru skóry i najrzadziej pojawiają się w kostiumach i rekwizytach.

Marek Okrassa zamienia to jednolite tło na obrazy – najczęściej sceny rodzajowe z udziałem ludzi umieszczane także w znanych z Sopotu miejscach jak peron kolejowy czy malowniczy mostek w ciągu ulicy Obrońców Westerplatte. Tym razem są to jednak obrazy utrzymane w kolorach mniej pogodnych od znanych wcześniej. Dominują raczej barwy ciemne, stonowane, w niektórych obrazach kontrastowane plamą, prawie jednolitą, błękitu czy oranżu. Artysta nadal

Marek Okrassa **Idol**, olej/akryl | fot. materiał Galerii Istota

uważnie przygląda się tworzonemu przez siebie postaciom, do których, też już tradycyjnie, pozuja mu m. in. jego najbliżsi – żona Ania, syn Staś... W malarstwie tym widać już jednak dojrzałość twórcy – jego rozliczne życiowe doświadczenia, zmieniające się z latami poglądy, spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Wiadomo, że Marek Okrassa nie tylko maluje i rysuje – wykonuje także ilustracje, plakaty, zajmuje się projektowaniem graficznym. Na najnowszej wystawie pokazał jednak głównie malarstwo – zarówno prace ukończone jak i malarskie szkice do nich, w których widać dużą swobodę ręki dobrze obeznanej z plastycznym rzemiosłem.

Marek Okrassa to skarb Sopotu. Co prawda urodził się w Częstochowie, skąd pochodziła jego matka Jadwiga, podczas jej krótkiego pobytu u rodziców, ale w Sopocie mieszka i tworzy od dziecka. Syn artystów grafików związanych z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku – Zygmunta (1945-2021) i Jadwigi (ur. 1950) od wczesnych lat był przez nich zachęcany do kreatywności, tworzenia. Tak „dzieńdzicznie obciążony” nie mógł nie trafić na macierzystą uczelnię rodziców, którą ukończył z wyróżnieniem pod koniec lat dziewięćdziesiątych dyplomem z malarstwa w pracowni profesora Macieja Świeszewskiego i rysunku u profesor Marii Targońskiej. W pracy pisemnej, chociaż sam jest realistą, skupił się na temacie „surrealizmu w malarstwie polskim”. Już w trakcie studiów był stypendystą Ministra Kultury i Sztuki oraz Prezydenta Miasta Sopotu. Brał udział w wystawach zbiorowych, wystawiał indywidualnie w Polsce i za granicą, zdobywał nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach graficznych, współpracował jako grafik z wydawnictwami (między innymi z czasopismem „Twój Styl” z Warszawy czy „Art Crowd Magazine” z Nowego Jorku). Po dyplomie zaangażował się w działania lokalnego środowiska artystycznego, w tym jako członek stowarzyszenia Sopot-Miasto Artystów, współorganizator wydarzeń z cyklu „Sopot – Ulica Sztuki” – gdzie artyści profesjonalni współpracowali z artystami nieprofesjonalnymi czy ofiarodawca prac na aukcje na rzecz Sopotkova – sopockiego schroniska dla bezdomnych zwierząt. Reprezentował

Sopot na festiwalu miast partnerskich we Frankenthalu czy w Deauville we Francji w 2000 roku. W roku 2005 jego rodzinne miasto doceniło Marka przyznając mu nagrodę Sopockiej Muzy dla młodych twórców. Często wystawia w swoim mieście – w galerii Triada (2002), Państwowej Galerii Sztuki – PGS (2001 – wraz z Joanną Zastróżną i Joanną Ziółkowską oraz w 2003 i w 2011), Cosma Gallery („Czerwone koncerty” 2021). W 2011 roku, wystawie w PGS zatytułowanej „Notowania nudy” towarzyszył nie tylko profesjonalny katalog, do którego tekst przygotował poeta i redaktor czasopisma literackiego „Topos” Krzysztof Kuczkowski, ale i piękny kalendarz ścienny z reprodukcjami obrazów na każdy miesiąc 2011 roku. PGS promo-

Marek Okrassa **Krawat**, olej/akryl | fot. materiał Galerii Istota

wał młodego twórcę także za granicą – prezentując jego sztukę w Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki (2018) czy Galerii Miejskiej w Grodnie (2019). Specjalnym wydarzeniem ofiarowanym własnemu miastu była wspólna ekspozycja rodziców i syna: Jadwigi, Zygmunta i Marka Okrassów w Dworcu Sierakowskich latem 2008 roku.

Artystyczne talent wymaga dbałości, stworzenia mu warunków do jak najlepszego rozwoju. Takie idealne warunki miał Marek, teraz ojciec dwójki dzieci: Stasia i Laury. A ponieważ żona Marka – Anna Małecka także jest artystką plastyczką, odpowiedzialną m. in. za identyfikację wizualną Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie – istnieją duże szanse na to, że także kolejne pokolenie rodziny Okrassów skłoni się ku plastyce.

Olga Krzyżyńska

Zaproszenie od B.B.

Dopóki żyjemy, nic nie jest przesądzone, tak jak nie istnieje tylko jeden punkt widzenia. Wszystko ma swoją miarę i wagę, swój urok i perspektywę, choćby w rzeczywistości jeszcze nawet nie istniało. Wie o tym Beata Bartelik, która na nowo stworzyła siebie i swój charakter, i jak się okazuje – nie tylko to.

Bohaterka i gwiazda wieczoru w gdyńskim Konsulacie Kultury – ciepłej i kameralnej atmosferze – na przemian to czytała fragmenty swojej pierwszej w życiu napisanej książki *La plata. Droga ciszy*, to śpiewała premierowe piosenki z płyty *Droga ciszy*. Płyta i książka mają niemal identyczne okładki, więc od razu widać, że to komplet. W trakcie spotkania autorskiego piosenkarki i koncertu pisarki wyszło na jaw, co z czego powstało i dlaczego. Spokojnie można powiedzieć, że przedstawienie stało się od początku przekazem refleksji o życiu i jednocześnie kroniką, sprawozdaniem z wędrówki Beaty do Santiago de Compostela i była w tym istna magia sztuki opowiadania i śpiewania.

W cztery miesiące po koncercie usłyszałem w Radiu 357 reportaż Hanny Wilczyńskiej-Toczko o B.B. – piosenkarce, pisarce, kompozytorce, tekściarce i ogólnie postaci niezwykle kolorowej, ambitnej, upartej i pracowitej. W niedługim czasie potem Beata na temat swojego wydawniczego pakietu udzieliła wywiadu Radiu Gdańsk, by za chwilę, w drugim dniu kwietnia, wystąpić w programie „Dzień Dobry TVN” i opowiadać nie tyle o książce, o której tylko wspomniała, co o swoich doświadczeniach, przemysleniach i doznaniach podczas trzykrotnej wędrówki trzema różnymi szlakami i po przejściu prawie trzech tysięcy kilometrów najstojniejszą drogą Europy. Mówiła o Camino, o szlakach pielgrzymkowych do Santiago de Compostela, które pokonała. Mówiła zajmująco pięknie i mądrze. Słuchać było i widać, że niezależnie od okoliczności jest osobą jasno zadeklarowaną w życiu, choć...

By się dowiedzieć, co jest po „choć”, trzeba sięgnąć po książkę.

Waldemar Chyliński



Beata Bartelik | ze zbioru domowego piosenkarki

La Plata. Droga ciszy

(fragmenty książki)

Beata Bartelik

[Różnie się opisuje historię] o odnalezieniu grobowca i szczątków św. Jakuba. A prawda historyczna? Nigdy jej pewnie do końca nie poznamy, ciągle będzie się mieszać z legendą i zmyśleniem. Głosi, że w roku 830 w obawie przed splądrowaniem i zbezczeszczeniem grobu przez Maurów przeniesiono szczątki św. Jakuba z Jerozolimy do Hiszpanii. Jeszcze pod koniec pierwszej połowy IX wieku w miejscu pochówku powstał kościół, do którego zaczęli przybywać pielgrzymi z całej ówczesnej Europy. Powołano zakon rycerski, który miał opiekować się i bronić grobu św. Jakuba, a w 1075 roku, za panowania króla Alfonsa VI Kastylijskiego, rozpoczęto budowę świątyni, którą rozbudowywano i upiększano do czasów późnego baroku. Katedra w Santiago de Compostela – cel wielu pielgrzymów czasów średniowiecza. Edyktem papieskim z XII w. uznano Santiago za trzecie, po Rzymie i Jerozolimie, święte miejsce chrześcijaństwa i tym samym za cel pątników. A pielgrzymowano z wielu powodów i w wielu intencjach. Początkowo miało to charakter ściśle religijny. Pielgrzymowano w akcie pokuty za grzechy, dla umocnienia wiary, z modlitwą i prośbą o uzdrowienie lub też w celach dziękczynnych. Czasem też wyrokiem sądu przestępca w ramach pokuty i zadośćuczynienia miał nakazane odbycie pielgrzymki do Composteli. Pielgrzymowali ludzie wszelkich stanów, od pańszczyźnianego chłopca, przez feudalnego pana, rycerza do samego króla i papieża. Najśłynniejszymi pątnikami pielgrzymującymi do Santiago byli Karol Wielki, św. Franciszek z Asyżu, Ignacy Loyola czy papież Jan XXIII. Również Jan Paweł II dwa razy odwiedzał Compostelę, a nawet przeszedł pieszo niewielki odcinek *camino frances*.

Już w średniowieczu pątnika zmierzającego do Santiago zaczęto nazywać *peregrino*, w odróżnieniu od *romero* pielgrzymującego do Rzymu lub *palmero* – do Jerozolimy. Czasem też nazywano ich *kokijardami* od francuskiej nazwy symbolu pielgrzyma – muszli. (...)

(...) z góry roztaczał się już widok na miasteczko, które było moim dzisiejszym celem – Almadén de la Plata. Białe, andaluzyjskie miasteczko z płaskimi dachami i tarasami na nich (...) Szukając albergi trafiłam na kościół Santa Maria de Gracia. W każdym hiszpańskim miasteczku i wiosce prędzej czy później trafia się na kościół, często średniowieczny lub, najmarniej, XVI-wieczny. Tam spotkałam księdza. Bardzo grubego księdza. Myślałam, że tylko w Polsce księża są tak

grubi. Ale widocznie księżom w Hiszpanii wiedzie się równie dobrze jak księżom w Polsce. Ksiądz był co prawda zajęty rozmową z parafiankami, ale postanowiłam cierpliwie poczekać, bo kto może wiedzieć lepiej, gdzie znajdę albergue de peregrinos. Czekałam dość długo, ale ciągle cierpliwie. Parafianki nie dawały księdzu odejść. Za każdym razem, kiedy już wydawało się, że rozmowa jest zakończona i już będę mogła podejść z moim wykwintnie ułożonym w głowie pytaniem, to któryś z pań coś się jeszcze przypominało i rozmowa trwała w najlepsze. Nikt przy tym nie zwracał uwagi na stojącą parę kroków dalej pielgrzymkę z olbrzymim plecakiem, ewidentnie czekającą na zakończenie rozmowy. Cóż – pewnie mieli jakieś ważne i niecierpiące zwłoki sprawy parafialne do omówienia. Niecierpiące zwłoki! Jakby zwłoki mogły jeszcze cierpieć. *De todas formas* – lubię ten zwrot – doczekałam się końca rozmowy, zadałam pytanie i ksiądz zaprowadził mnie do albergi, która była kilkanaście metrów od kościoła! W czasie oczekiwania na koniec rozmowy mogłabym obejść miasteczko pewnie ze dwa razy i prędzej czy później natknęłabym się na nią. Ale przecież nie mogło się zmarnować moje pytanie:

– *Disculpe, por favor. Puede decirme, dónde está un albergue de peregrinos?*

(...) camino przyciąga ludzi, którzy coś w życiu zgubili, coś stracili lub świadomie porzucili. Samotność na szlaku, spokój i proste cele typu dojść, zjeść, spać wysyłają na zasłużony odpoczynek nasze jakże często negatywne emocje, stres, problemy i robią miejsce na przemyślenia, nowe pomysły, nowe otwarcia.

(...) Moja podróż to podróż samotnika. Lubię spotykać ludzi i cieszyć się, kiedy można wieczorem w alberdzie podzielić się wrażeniami, porozmawiać o życiu, o ważnych sprawach i o pierdołach. Kiedy można komuś pomóc lub skorzystać z czyjejś pomocy. Ale nie chcę się przywiązywać. Dłuższa wspólna podróż zaczyna rodzić zobowiązania, wymusza pewne powinności, powoduje, że czuję się już coś komuś winna a przy moim braku asertywności trudno jest się później oderwać. Cieszę mnie te kilkudniowe znajomości właśnie dlatego, że są kilkudniowe.

(...) Urodzona i wychowana nad morzem kocham góry miłością bezwarunkową, absolutną i właściwie ciągle za

nimi tęsknię. Moje życie związane jest z morzem, młodość spędziłam pod żaglami. Od regat do regat. Jacht był moim drugim domem a załoga rodziną, ale nigdy, nawet wtedy gdy samotnie siedziałam na wachcie prowadząc jacht, gdy wokół mnie tylko bezmiar wody a pode mną głębia, gdy niebo było tak rozświetlone a gwiazdy tak wyraźne i bliskie, że wystarczyło sięgnąć po nie ręką, gdy mój krzyk walczył o lepsze z rykiem fal, nawet wtedy nie czułam się tak bardzo częścią wszechświata jak wtedy, gdy jestem na stoku a wokół mnie tylko szczyty, inne stoki, przełęcz, poloniny i piargi. Wtedy czuję jedność z bezmiarem kosmosu, choć jestem tylko miliardową częścią atomu w kosmicznej skali. I wtedy chce mi się milczeć. Tylko milczeć, bo tylko tak potrafię wyrazić swą wdzięczność, że jestem. Choćby i jedną miliardową częścią atomu.

(...) Szłam i wymyślałam tę książkę, choć nie jestem pisarką. Teksty do własnych piosenek nie czynią mnie nią jeszcze, ale czynią ze mnie... autorkę tekstów. Do piosenek.

Beata Bartelik, *La Plata. Droga ciszy*, Wydawnictwo Soliton, Sopot 2024, książkę uzupełnia płyta *Droga ciszy* z nagraniami autorskich piosenek Beaty Bartelik – wokalistki, autorki tekstów, polonistki i terapeutki. Jej największy przebój to *Sen na pogodne dni* – z tekstem Waldemara Chylińskiego.

Droga Jakubowa – camino de Santiago – to szlaki pielgrzymie prowadzące niemal z każdego zakątka Europy (również przez Polskę) do Santiago de Compostela – katedry, gdzie mieszczą się relikwie św. Jakuba. Na podstawie edyktu papieskiego uznano je za miejsce święte już w XII wieku.

Piosenki...Piosenki! Właśnie! Jestem piosenkarką. Nie tylko w sensie, że śpiewam, ale i w takim sensie, że piszę piosenki. Jestem piosenkarką, bo piszę piosenki. Zrobię więc to, co umiem najlepiej – napiszę jeszcze więcej piosenek. Stworzę i nagram płytę, która będzie jednością z tą książką. Płytę taką, jak ta droga. Kameralną. Nienachalną. Niebanalną. O ciszy. O byciu kimś. I byciu nikim. O byciu sobą... I za chwilę już miałam w głowie refren i swoje słowa.

(...) Camino zmienia. W autobusie do Porto, wracając do normalnego życia nie czuję się tą samą osobą, która wyruszyła na szlak. Jak żyć? Ano, po prostu, chociaż nic prawdopodobnie nie będzie takie samo. Nigdy już nie uwolnię się od tęsknoty za szlakiem. Tęsknota i marzenia o powrocie na drogę będą zawsze częścią mojego życia, nawet w najbardziej prozaicznych jego aspektach. Zwłaszcza w nich. A droga? Ona jest we mnie i już zawsze będzie. *Hasta luego y buen camino.*

Beata Bartelik



Andrzej Kazimierz Wróblewski | ze zbioru *Portret rzeczywisty*



Kobiety w oczach kobiety

Zofia Watrak



Hanna Karczewska *Odnaleziona*

Portrety kobiet, zwłaszcza akty, są odwiecznym tematem malarstwa, kojarzonym głównie z alegorycznymi przedstawieniami. Ich zmienne wizerunki, motywowane historycznie, łączy jedno – zostało stworzone przez mężczyzn. Kariera malarek zaczęła się dopiero w XVI w. i była mocno ograniczona. Nie mogły studiować anatomii ani malować ludzkiego ciała. Wątek ten podejmuje sztuka feministyczna, której podstawową kategorią oceny jest pytanie – kto patrzy i kto kontroluje ciało. Historia nowożytnej sztuki należy głównie – nazwijmy to umownie – do kultury męskiej. Z tej perspektywy widziane przez mężczyzn ciało kobiety staje się przedmiotem pożądania i przyjemności. Jako estetyczna forma, kolistą i płynną, kojarzone jest głównie z kontemplacją piękna, a męskie jako heroicznie i ujarzmiające, ze wzniosłością i władzą. Kobięce jako bierne, męskie

jako aktywne.¹ W sztuce feministycznej i krytycznym nurcie sztuki obrazowane są ciała „zdegradowane” chorobą, cierpieniem, kalectwem, procesami starzenia i umierania, a więc poza tradycyjnymi i kulturowymi normami estetycznych kanonów. Praktyka artystyczna pozostaje w opozycji do historycznej reprezentacji ciała, podporządkowanej autonomicznej strukturze dzieła, z jej uniwersalną estetyką i kunsztem artysty.

A kim są kobiety z obrazów Hanny Karczewskiej? Autorka daleka jest od współczesnego dyskursu o cielesności

¹ Kenneth Clark, *Akt. Studium idealnej form*, Warszawa 1998. Autor śledzi tradycję figuratywną z perspektywy klasycznego ideału jako uniwersalnej normy kultury. Polemizuje z jego tradycją widzenia aktu Lynda Nead w *Akt kobiecy*, Poznań 1998



Hanna Karczewska *Adam i Ewa*

w sztuce. Przeciwnie, świadomie wpisuje się w tradycję malarstwa, zwłaszcza bliskiej jej szkoły Fontainebleau z jej ideałem uduchowionego piękna i miłości „niemożliwej”. Powtarzający się gest wzajemnego dotyku przywołuje cytat z anonima tej szkoły: obrazu *Gabrielle d'Estrées i jej siostra, księżna de Villars, w kąpieli*. Przykładem jest obraz *Adam i Ewa* o podobnym układzie kompozycyjnym. Po wielokroć powtarzany wzorowany na nim gest dotyku w malarstwie Karczewskiej ma charakter symboliczny. Jest opiekuńczym gestem anioła, jak w obrazie *Anioł i dziewczyna*. Mężczyźni, jeśli się pojawiają w jej obrazach, to raczej obojętne płciowo anioły, jak we wspomnianym już obrazie *Adam i Ewa*.



Hanna Karczewska *Anioł i demony*

Bohaterkami malarstwa Hanny Karczewskiej są przede wszystkim kobiety współczesne. Ich wizerunków szuka ona w fotografii dokumentalnej i prasowej.

Początkiem rodzącej się idei jej malarstwa, w latach 70., była przypadkowo odkryta fotografia powstańców warszawskich ze śladami destrukcji czasu, który nie zniszczył poruszającego wyrazu przerażonych oczu. Fotografia ta, autorstwa Jerzego „Jura” Tomaszewskiego, stała się początkiem rozwijanej przez kolejne lata koncepcji galerii portretów i aktów. Do jego fotografii malarka będzie jeszcze wracać korzystając także z innych autorów, jak Witkacego (w obrazach *Dwie siostry*), czy Steve’a McCurry’ego – autora zdjęcia twarzy afgańskiej dziewczyny, zidentyfikowanej potem jako Sharbat Gula. Twarz tę poznał cały świat dzięki publikacji na okładce „National Geographic”, a dla malarki stała się inspiracją dla kilku wersji rysunkowego portretu *Odnaleziona*. Wykorzystała w nich efekt zwielokrotnionego odbicia. Kontury zacierają się dzięki autorskiej technice struktury podłoża, osiąganey destrukcyjnymi działaniami,



Hanna Karczewska *Lustro*

takimi jak przecierki czy zadrapania. Wykorzystywała też technikę litografii, uzyskując w rysunku odbicie splotu płótna – efekt „chusty Weroniki”. Postaci z jej obrazów, wcześniej zarejestrowane obiektywem, zyskiwały dzięki fotografii wiarygodne istnienie, z ich własną historią życia i zapisem czasu. Były to często postaci znane z dramatycznych biografii, jak Katarzyna Kobro czy Halina Poświatowska. Malarka wykorzystuje też modelki ze świata mody, widziane okiem słynnych fotografów, jak Peter Lindbergh. Łączy je wszystkie ulotna chwila, dla której zostały powołane i umykający obraz ich wizerunków.

Powtarzający się wzorzec obrazowania Karczewskiej koncentruje się na czasie. Obraz rzeczywisty fotografii, choć ukierunkowany przez fotografa, jest świadectwem czasu. Dla Hanny Karczewskiej staje się punktem wyjścia do dalszych przekształceń, podporządkowanych już czysto



Z albumu fotograficznego *Epizody Powstania Warszawskiego* | fot. Jerzy Tomaszewski, <https://www.fotopolis.pl/>

malarskiej konwencji i przemyślanym środkiem wyrazu. Zabiegi przekształcające, czas rzeczywisty przeobrażają w czas uniwersalny, teraźniejszość w „wieczną teraźniejszość” a realność fotografowanego obiektu w nowy byt sensów i idei. Postaci z obrazów Karczewskiej pozostają między dwoma kategoriami czasu, między trwaniem a przemijaniem. Charakterystyczny bezruch, w jakim tkwią, statyczność kompozycji, wyzwala je z czasu teraźniejszego, natomiast struktura przestrzeni obrazu, wyraża refleksję o przemijaniu. Obecny w wielu kompozycjach (*Lustro z modelkami*, *Przełgądająca się*, *Lustro IV*) motyw lustra z efektem odbicia nakładany jest na obraz jakby mgiełka zacierającą jego ostrość. Zjawiskowości i ulotności postaci nadaje technika sfumato, łagodne przejścia kolorystyczne, zacierające wyrazistość form, rola światła i pastelowych barw. Laserunki tworzą swoiste przesłony, jakby znikającego obrazu, który staje się alegorią kruchości trwania i przemijania. Wszystkie zabiegi formalne służą wypukleniu odmiennych relacji czasoprzestrzennych – lustrzanego odbicia i wyodrębnionego tła obrazu.

W literaturze i malarstwie lustro ma wielowątkową symbolikę. Przede wszystkim jest jednak metaforą umysłu. Wykorzystywane w malarstwie było pretekstem dla mistrzowskiego opisu w tworzeniu złożonych, wielowarstwowych kompozycji. Leonardo wykorzystywał je do obserwacji modelu pod różnymi kątami, do badania proporcji i perspektywy. Było dla niego odbiciem idealnym rzeczywistości, choć różnym od niej. Wielokrotność odbić wiodła do subiektywizacji widzenia i połączenia motywu lustra z motywem labiryntu z jego symboliką błędzenia i poszukiwania własnego „ja”.

Spośród wielu znaczeń motywu lustrzanego odbicia Hannie Karczewskiej wydaje się najbliższa idea poszukiwania prawdy. Kobiety z jej obrazów, poddane są swoistej manierystycznej stylizacji (wydłużone linie i proporcje, skomplikowane skręty ciała, spojrzenie wyrazistych oczu skierowane w stronę widza) zdają się bliskie koncepcji „rysunku wewnętrznego” szkoły Fontainebleau jako wzorca, wedle którego realna natura przekształca się w jej idealny obraz. Tak, jak alegoryczne piękno kobiet z obrazów szkoły miało swoje rzeczywiste modelki na królewskim dworze, tak kobiety z obrazów Hanny Karczewskiej, mają swoje rzeczywiste istnienie, zatrzymane w fotografii. Malarka nadaje im uduchowione zmysłowe piękno, bliskie mistycznej cielesności prerafaelitów, które przybiera czasem aspekty anielskie. Można im przypisać wiersz Dantego Gabriella Rosatiego (ok.1860):

Pod łukiem Życia, co jest wciąż strzeżony
Przez Śmierć i Miłość, Strach i Tajemnicę,
ujrzałem Piękność: w straszne te źrenice
jak we własny oddech byłem zanurzony.
To są te oczy, które z każdej strony
Nieba i morza mówią ci: „Zachwyć”...²

Artystka patrzy na swoje modelki oczami wykształconej malarki, świadomej malarskiej tradycji i szukającej w niej swojego miejsca.

Zofia Watrak

² *Historia Piękna* pod redakcją Umberta Eco, Poznań 2005, s. 175

Najnowsze wiersze starego poety

O tomie Desmonda Grahama *Niewydolność serca*

Kamila Gaik i Karolina Głuszczyk

Desmond Graham urodził się w 1940 roku w Cobham, dorastał w sąsiedztwie Londynu, studiował zaś – literaturę angielską – na uniwersytecie w Leeds, gdzie w 1968 roku ukończył kurs doktorancki. Następnie wykładał poezję na uniwersytetach w Niemczech i na kontynencie afrykańskim, by w 1971 roku podjąć pracę w Wielkiej Brytanii na Uniwersytecie Newcastle upon Tyne, wprawdzie jako wykładowca, później jako profesor poezji.

Pierwszy tom poezji Grahama opublikowało wydawnictwo Seren w roku 1993. Nieprzetłumaczony do dzisiaj *The Lie of Horizons* to wiersze o zróżnicowanej tematyce, od relacji rodzinnych po kwestie polityczne, często o tym jak zmieniają się ludzie pod naciskiem polityki i historii. Czasem pojawia się w tej poezji ton satyryczny.

Z czasem Graham stał się także historykiem literatury, tłumaczem i redaktorem. Jego utwory publikowane były przez wydawnictwa Poetry Wales Press Ltd, Villa Vic Press, Flambard Press i wspomniane już Seren. Zostały docenione przez czytelników i krytyków. Istotny wątek twórczości Grahama – autora kilkunastu tomów wierszy – stanowią prace pisarskie i edytorskie poświęcone poetom wojennym, a zwłaszcza dorobkowi Keitha Douglasa, którego biografię Graham opublikował w 1974 roku. Ów oficer – dowódca czołgu w Afryce Północnej – zwrócił na siebie uwagę wierszami, które tworzył aż do śmierci, w 1944 roku, w trzecim dniu po lądowaniu w Normandii. W tomie samego Grahama *The Marching Bands*, wydanym w 1996 roku, autor przywołuje przerażającą atmosferę wojny, kłaniając się wielkim poetom wojennym, w tym – obok Douglasa – Wilfredowi Owenowi, Edwardowi Thomasowi, Ivorowi Gurneyowi.

Poeta doczekał się tłumaczeń na język polski, dokonanych przez Olę i Wojciecha Kubińskich, którzy ponadto zredagowali, przełożone przez studentów translatoryki na Uniwersytecie Gdańskim i na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wiersze z tomów *Unaccompanied* i *Brain Songs*. Olga i Wojciech Kubińscy przełożyli również wybrane wiersze z tomu *After Shakespeare*, by w książce *Cień Makbeta* wydać je wraz z własnym *Słownikiem postaci Szekspirowskich*. Trzeba też wspomnieć, że pierwsza publikacja wierszy Grahama w języku polskim ukazała się w 1987 roku w gdańskim „Dzienniku Bałtyckim” w tłumaczeniu Zbigniewa Joachimiaka.

Desmond Graham po raz pierwszy przyjechał do Gdańska w 1984 roku, jako stypendysta British Council Visiting Fellow.

W ten sposób rozpoczął wieloletnią współpracę z pracownikami naukowymi i studentami Uniwersytetu Gdańskiego, która przerodziła się w przyjaźnię, a także we współpracę z innymi ośrodkami w Polsce. W marcu 2018 roku został odznaczony Złotym Medalem Uniwersytetu Gdańskiego *Doctrinae Sapientiae Honestati*. Zainteresowanie polską kulturą i poezją zaowocowało powstaniem zbioru poezji *A Gdańsk Sketchbook. Polish Poems 1984-2008*, wydanego – dwujęzycznie – pod polskim tytułem *Gdański szkicownik*. W latach 80. XX wieku, kiedy „Solidarność” w Gdańsku przynosiła nadzieję na pokojowe zmiany, Desmond Graham był jednym z wielu artystów zainspirowanych tym pokojowym ruchem. Zainteresowanie Grahama naszym krajem owocowało również współtłumaczeniem, wraz z Tomaszem Krzeszowskim, tomu *Dwie Ciemności* Anny Kamieńskiej na język angielski.

Desmond Graham kontynuuje współpracę z polskimi środowiskami pisarskimi. Najnowszy tom jego poezji *Heart Failure* doczekał się przekładu w 2025 roku, pod tytułem *Niewydolność serca*. Z niego pochodzą też wiersze wybrane tutaj do druku.

Zbiór otwiera przedślowie autora, a w nim czytamy:

Niewydolność serca nie jest jednorazowym zdarzeniem, tylko stanem, zaburzeniem działania serca, które może skutkować śmiercią, lecz nie musi.

Wiersze powstały w roku 2024, zaledwie w kilka lat po wybuchu pandemii. Do dzisiaj rzeczywistość postrzegamy inaczej, relacje międzyludzkie noszą inny charakter, a nieczułość, jak choroba, dotyka wielu z nas. Z trzydziestu wierszy z tomu wybrałyśmy sześć. Każdy inaczej, po swojemu, tworzy atmosferę tomu.

Kamila Gaik i Karolina Głuszczyk

ELEGIA

byłem władcą geraniów
albo łajna – dozowałem
wysoce przetworzony nawóz
z hojnością gospodarza
tak bliskie mi były
boleści pragnienia
gasilem je z całych sił

i wylaniały się całe lato
i dłużej – zdjęte
z balkonów kwitły
i pięły się ku górze
przy dolnym stopniu schodów

ogrodnicy je podziwiali
zaprzyjaźniona ogrodniczka
przez całą jesień
głosiła ich chwałę
i moją chwałę

ona która potrafiła
wyhodować dość fasoli
dla całej rodziny olbrzymów
na jednej todydze
potrafiła nazbierać
w zimie
dość kwiatów by ozdobić
rodzinny grobowiec

i w jasnych dniach
lata
potrafiła zebrać i obdarować
każdego kto przyszedł
kto potrzebował koloru
najprostszym z bukietów
lecz teraz śpi
tak niedawno odeszła
niechętnie
i powolnie
nie mam kwiatów
na jej grób

pora roku minęła
moje własne gerania
martwe od roku
i porzucone
i nikogo
kto by o nie zadbał
z myślą o kolejnym roku

więc będę nasłuchiwać
ptaków w ogrodzie
jak ci co żerują
tam gdzie posiała

i z tych drobiazgów
które uzbieram
stworzę odrobinę melodii
na wzór tej
której słuchała
przez całe lato
ośniewa barwnym płótem
swoich geraniów

[przekład Kamili Gaik]

Desmond Graham

przekład Kamila Gaik i Karolina Głuszczyk

ŚMIERĆ OTWIERA DRZWI

i cały brud
wlatuje do środka

istoty bez serc
trzymają się swych fikcji
swych wizji kontroli
nowych słów nowych światów
i sztucznych obchodów

to było ich
i o tym wiedzieli
w jednej wizji –
jak już widzieliśmy –

sępy
stały
nad padliną
wybierały upatrzone kawałki
pozostawiały resztę
szarpaną i zdeptaną

lecz oni
nie są sępami
nie unoszą się
z nurtem

ulotnego fałszu używają
ulotnym fałszem się posługują
ulotnym fałszem jest ich mowa

a ta ulotność
daleka jest od boskich lotów
krążenia w przestrzeni
o objętości światła

nie – oni bez serc
przejmują rankingi
struktury
niczego
drabiny
by łuskać miejskie budynki

ich maszyny obłąknicze
zrzucają ciała
wprost na miejski plac
przesiąknięte chorobą
zaraźliwe
i zabójcze

[przekład Kamili Gaik]

TAMPONADA: PŁYN OTACZAJĄCY SERCE

„brak oznak tamponady”
powiedzieli –
ludzie
hura

lecz tamponada
to i c h lemoniada
eliksir

tamponada
ze szkoły porozumiewawczego
szturchania mrugania
chichotu
bierze cię w objęcia

lub ich napój zdrowotny
czyste zbawienie
„połknij mnie”
będzie ci smakować
rymuje się
z „serenada” –
lub ludzka zagłada –

ich tamponada
to bębnienie
francuska kanonada
strzał ostrzegawczy
salwa honorowa jednym karabinem

każdy zwolennik
szarżuje
naprzód
strzelając ślepakami
[przekład Karoliny Głuszczyk]

Desmond Graham
przekład Kamila Gaik i Karolina Głuszczyk

NASI LIDERZY

wybierają gałąź
jak głupi leśniczy
na której siedzą

odgłos piły mechanicznej
tak wciąga że aż jęczą
na przestrzał konaru

oni trzymają siekiery
tak uradowani zabawą
że ich drużyna zmyka w panice

oni ciągną i przypinają
armaturę sporu – O g i e n –
wywołany ich własną petardą

kopią tunel kopali tunel
będą kopać – kopalnie w ich palcach
chcąc usłyszeć głosy

słyszając jak mówisz
zanurzają się głębiej
nie myślą o ucieczce do schronu

[przekład Karoliny Głuszczyk]

*„Nie muszę nic tłumaczyć tym ludziom,
oni to wiedzą.”*

[Józef Herman, polski uchodźca, o namalowanych
przez siebie walijskich górnikach]

jest jeszcze inna klasa
jej członkowie
mówią lub nie mówią

uciekają wzrokiem lub patrzą prosto w oczy
idą dalej lub zwlekają żeby porozmawiać
lub zawsze milczą – wszystko w sobie duszą

choć nikt tego nie przyznaje
rozumieją dzięki
własnej wrażliwości

lub ona – z pomocną ręką –
która nic nie mówi – a tylna brama już naprawiona –
drzwi wejściowe z kapką oleju
nie miałeś pojęcia że była niezbędna
lecz ją dostały
jak trawa dostaje deszcz
ptaki – wiatr w skrzydłach
szybują w innej sferze

[przekład Karoliny Głuszczyk]

BRZOZY

brzozy białe
mienią się całą zimę
niczym topniejący śnieg
zawsze w zasięgu wzroku

co za gracją gdy wiosna
wyłania ich drobne liście
jak czyjeś języki
delikatne i silne

co zrobić z chłodem
co z ciemnością
co z jasnymi ogniami cynobru
znakującymi grozę długiej zimy

wiem
jak brzozy
oddają nam swój sok
w pilnej potrzebie

a ich kora
obrana i ostrożnie odpakowana
zostaje notatnikiem
naszych wiadomości
naszych wspomnień

spisanych byśmy lata później
bezbłędnie rozpoznali
wyrządzone nam
niezaprzeczalne krzywdy

[przekład Kamili Gaik]

Polscy Ormianie w powojennym Gdańsku

Maciej Żakiewicz

Ksiądz Kazimierz Filipiak, był jednym z ostatnich duchownych tradycji lwowsko-ormiańskiej. 10 maja 1946 roku otrzymał od władz radzieckich nakaz opuszczenia Stanisławowa. Wyjeżdża w wagonach przesiedleńczych do Polski, na Zachód, ze sobą zabiera ormiańską ikonę Matki Boskiej Łaskawej ze Stanisławowa. W Polsce trwa okres stalinizmu, pogardy dla wartości osobowej człowieka, jego duchowości i religijności. Duchowny błąka się po kraju. Dopiero „odwilż” 1956 roku zmienia sytuację. W czerwcu ksiądz Filipiak 1957 roku pisze list do Kurii Biskupiej w Gdańsku, a potem przyjeżdża do zniszczonego miasta i z początkiem 1958 roku rozpoczyna trudną pracę duszpasterską w ruinach kościoła św. Piotra i Pawła.

Już w nowej epoce dziejów Gdańska, po 1970 roku, w marcu 1987 roku na Sympozjum Ormiańskim w budynku historycznej Katowni wspomniano lwowsko-gdańską tradycję ormiańską. W tym samym roku w czerwcu, z inicjatywy księdza Filipiaka delegacja Ormian polskich wręczyła Janowi Pawłowi II na mszy św. w Gdańsku-Zaspie kopię obrazu Matki Bożej Łaskawej ze Stanisławowa. Po śmierci ks. Kazimierza Filipiaka, w 1992 roku, nowy proboszcz parafii – od 20 sierpnia 1995 roku – Cezary Annusewicz dokończył odbudowy zniszczonego w czasie wojny kościoła i podjął się w 2007 roku budowy nowego głównego ołtarza, w którym umieszczono ikonę Matki Bożej Łaskawej. Uroczystej intronizacji wizerunku dokonał arcybiskup Tadeusz Gołowski 19 sierpnia 2007 roku. O dziejach gotyckiego kościoła św. Piotra i Pawła pisał Arkadiusz Staniszewski, *Fara Gdańskiego Przedmieścia*, (Gdańsk 2016). Ale jeszcze w 2003 roku odbyło się II Sympozjum Ormiańskie w Internecie Technikum Przemysłu Spożywczego i Chemicznego w Gdańsku przy ulicy Lastadia, wraz z Ormianami przybyłymi z Zakaukazia i Rosji. Jesień Narodów 1989 roku i powstanie nowej mapy politycznej po rozpadzie ZSRR w 1991 roku spowodowały, że do Polski napłynęła fala Ormian. Krwawe starcia na Zakaukaziu między Azerami i Ormianami przyspieszyły ten proces. Relacje między narodem ormiańskim i polskim kształtowały się przez wiele stuleci, jednak w nowszych czasach na poziomie oficjalnym zawiązane zostały dopiero 26 lutego 1992 roku. Dokument, podpisany przez ministrów spraw zagranicznych Republiki Armenii (Raffiego Howannisiana) i Rzeczypospolitej Polskiej (Krzysztofa Skubiszewskiego), dał impuls do zacieśnienia relacji kulturalnych i politycznych.

Symbolem żywotności wspólnoty ormiańskiej w Gdańsku było poświęcenie – w Zautku Ormiańskim przy kościele św. Piotra i Pawła – ormiańskiego „kwitnącego krzyża”, chaczkaru, w dniu 7 października 2003 roku, z inicjatywy malarza, Gagika Parsamiana i fundacji „Punik” z Armenii. Proboszcz Annusewicz, wspominał:

Nadal żywa jest pamięć o księdzu prałacie Kazimierzu Filipiaku, który w roku 1958 przybył na Ziemię Gdańską wraz z ikoną Matki Bożej Łaskawej z jej dawnego kościoła ormiańskiego w Stanisławowie na Podolu. 19 maja 1959 roku, w dawnej zakrystii kościoła św. Piotra i Pawła, ten cudowny obraz zawisł w ołtarzu i od tej pory ormiańska Matka Boża Łaskawa stała się orędowniczką wszystkich przybywających do jej stóp.

W 650-lecie obecności Ormian w Polsce w społeczności gdańskich Ormian następuje znacząca zmiana. 13 sierpnia 2017 roku Związek Ormiański w Gdańsku – istniejący od 7 stycznia 2015 roku – w tym prezes Gagik Parsamyan, liczne środowisko Ormian oraz władze miasta i mieszkańcy, uczestniczyli w otwarciu Domu Ormiańskiego przy ulicy Mariackiej. Mszę świętą w liturgii ormiańsko-katolickiej celebrował w tym dniu przed obrazem Matki Boskiej Łaskawej katolikos Rafael Bedros XXI Minassian, patriarcha Cylicji dla Ormian katolików. Otwarcia Domu Ormiańskiego towarzyszyła ormiańska ceremonia poświęcenia ziół i winogron, oraz odsłonięcie kamiennych tablic na fasadzie siedziby. Na zakończenie odbył się koncert muzyki ormiańskiej. Dnia 15 sierpnia 2019 roku, w drugą rocznicę otwarcia siedziby przy Mariackiej 34/36, miała miejsce skromna uroczystość poświęcona nie tylko tamtemu wydarzeniu, ale



Spotkanie w Domu Ormiańskim w Gdańsku przy ulicy Mariackiej, 3 stycznia 2023. Od prawej prof. Claude Mutaflan, w środku tłumacz z ormiańskiego Vahram Mkhiaryan, w głębi dr Arkadiusz Staniszewski | fot. ze zbioru Macieja Żakiewicza

i osobie prezydenta miasta Gdańska, Pawła Adamowicza. Znajomi wspominali tragicznie zmarłego i jego rodzinę, która przybyła z Wilna w 1946 roku nad Motławę. Odrębna wystawa fotograficzna przypominała związki prezydenta z gdańskimi Ormianami, a Gdański Klub Poetów, z siedzibą w Starej Oliwie, przedstawił cykl wierszy nawiązujący tematycznie do naszej codzienności, w której przychodzą momenty tragiczne, decydujące często o naszym losie i wyborach.

W ciągu 5 lat istnienia Domu Ormiańskiego w Gdańsku jego gospodarze mogą poszczycić się wyjątkowo aktywną działalnością. Do historii miasta nad Motławą przechodzą comiesięczne spotkania w Domu Ormiańskim, poświęcone, kulturze, malarstwu, muzyce, sztuce. Malarz Gagik Parsamyan jest duchem sprawczym wielu plenerów malarskich, z udziałem artystów polskich i przybywających z Armenii, czy ostatnio z Ukrainy. Przyświeca mu motto: *Sztuka trwa długo, życie jest krótkie. Sztuka jest cichym świadkiem stuleci*. Inną znaczącą postacią środowiska jest prof. Norajr Ter-Grigorian – filolog klasyczny. Po 1989 roku przybył do Gdańska, gdzie przez wiele lat pracował na Uniwersytecie Gdańskim. Jest współautorem wraz z Andrzejem Pisowiczem z Krakowa i Szuszanikiem Sedojanem, pierwszego w dziejach nowożytnych słownika polsko-ormiańskiego (wschodni wariant ormiańskiego jest językiem urzędowym Republiki Armenii).

Sona Van i ormiański tragiczny rok 1915

Przy ulicy Mariackiej częstym gościem jest Beata Poźniak, amerykańsko-gdańska aktorka, której rodzina po wojnie przybyła na Wybrzeże z Wilna. W rocznicę ludobójstwa Ormian – 24 kwietnia 2021 roku, w wydawnictwie Discordia Global Media, ukazał się audiobook w języku

polskim *Libretto dla pustyni* z wierszami Sony Van – znanej na świecie ormiańskiej poetki, tłumaczonej na wiele języków. Z ormiańskiego na język polski wiersze te przetłumaczył prof. Jerzy Szokalski. *Libretto for the Desert* zdobyło Europejski Medal Poezji i Sztuki HOMER. Wersja angielska audiobooka, w wykonaniu Beaty Poźniak, zdobyła nominację do prestiżowej nagrody *Voice Arts Awards* za najlepszą interpretację. Aktorka przybliżyła po raz pierwszy tę niezwykłą poezję polskiemu słuchaczowi, głównie ze względu na jej głębokie uniwersalne przesłanie. Wszyscy znamy kogoś, kto doświadczył przemocy, wysiedleń, wojny lub przeżył stratę kogoś bliskiego.

Spotkanie z Ormiańską Jerozolimą przy ulicy Mariackiej

3 stycznia 2023 roku w siedzibie Towarzystwa Ormiańskiego przy Mariackiej odbyło się spotkanie z profesorem Claude Mutaflan z Paryża. Przybyli gdańscy Ormianie i Polacy, miłośnicy kultury i tradycji ormiańskiej. Wykład, prowadzony po ormiańsku, tłumaczył na język polski Vahram Mkhiaryan. Kanwą odczytu była ostatnia praca profesora, bogata ilustrowana monografia *Jérusalem et les Arméniens jusqu'à la conquête ottomane (1516) [Jerozolima i Ormianie, do podboju osmańskiego (1516)]*, która ukazała się w paryskim wydawnictwie Les Belles Lettres w 2022 roku.

Ormianie zajmują szczególne miejsce w Jerozolimie, król armeński uznał chrześcijaństwo za religię państwową swojego kraju już z początkiem IV wieku. Z tego też powodu w Jerozolimie od IV wieku do dzisiaj Ormianie posiadają własną dzielnicę. Dzielnicę, wyodrębnioną z ogólnej dzielnicy chrześcijańskiej, z którą razem tworzą zachodnią część miasta. Dzielnicą ormiańską zajmuje mniej więcej 14 procent powierzchni miasta. Prof. dr Claude Mutaflan to historyk ormiańskiego pochodzenia, urodzony w 1942

roku i mieszkający we Francji, autor licznych prac z historii i kultury Armenii, specjalizujący się w okresie XI-XIV wieku, zwłaszcza w Armenii Cylicyjskiej. W 2001 roku obronił pracę doktorską *La diplomatie arménienne à l'époque des croisades* na paryskiej Sorbonie. W 2013 roku otrzymał tytuł doktora habilitowanego, za dorobek poczyniony od jego pierwszej książki *La Cilicie au carrefour des empires*, z 1988 roku, po wydaną w 2012 roku książkę-album *L'Arménie du Levant*. Historię interesował się przez cały czas pracy naukowej, niemniej karierę naukową zrobił najpierw w dziedzinie matematyki. Uczył na kilku uniwersytetach w Paryżu i poza Francją, (Princeton, Hawana, Meksyk, Erywań), opublikował kilka książek z nauczania algebry, w latach 1985–2004 był profesorem na Université Paris XIII. Po przejściu na emeryturę poświęcił się całkowicie historii, stając się znanym popularyzatorem dziejów i kultury Armenii. Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki i kultury w 2022 roku odznaczony państwową nagrodą Republiki Armenijskiej. Jego ojciec był uznanym malarzem ormiańskim.

Prezentowany na spotkaniu album składa się z jedenastu rozdziałów o tytułach: (I) *Pierwsze królestwo Armenii*, (II) *Między Persją a Bizancjum*, (III) *Dominacja arabska*, (IV) *Od drugiego królestwa Armenii do wypraw krzyżowych*, (V) *Ormiańskie królowe Jerozolimy*, (VI) *Ormianie i rządzona przez Franków Syria*, (VII) *Inauguracja i apogeum ostatniego królestwa Armenii*, (VIII) *Agonia ostatniego królestwa Armenii*, (IX) *Pod władzą Mameluków*, (X) *Napięcia religijne*, (XI) *Rękopisy i barwne ilustracje*.

Powstanie książki wiąże się z pracami nad odnowieniem Muzeum Ormiańskiego w ormiańskiej dzielnicy Jerozolimy, z lat 1969-1998. Dzieło Mutfiana uzupełniają reprodukcje eksponatów z nowego muzeum i obszerne i pogłębione studium różnorodnych kontaktów, które łączyły Ormian z Palestyną w ciągu ponad piętnastu wieków.

Większość stron książki zajmują bardzo różnorodne materiały ilustracyjne: od współczesnych fotografii kolorowych, przedstawiających obiekty architektoniczne (kościół, klasztory, zamki) i krajobrazy (ruiny miasta Ani) aż po wizerunki dawnych władców i historycznych postaci. Szczególną wartość mają reprodukcje początkowych fragmentów różnych dokumentów źródłowych. Są zaopatrzone w obszerne opisy i informacje, gdzie dany dokument jest przechowywany. Reprodukowane w książce Mutfiana dokumenty to nie tylko rękopisy w języku staroormiańskim, ale także w łacińskim, greckim, syryjskim, starofrancuskim, włoskim, niemieckim i arabskim. Na uwagę zasługują piękne reprodukcje ilustracji ze średniowiecznych manuskryptów. Jedną z nich – obwołanie książki – przedstawia zdejmowanie Chrystusa z krzyża, przy czym, w prawym dolnym rogu, widoczny jest portret ormiańskiej królowej Cylicji Mariun; to reprodukcja z ewangeliarza z roku 1346.

W IV wieku, po przyjęciu chrześcijaństwa przez króla Armenii Tirydatesa Wielkiego, do Jerozolimy, jako stolicy chrześcijaństwa, zaczęli przybywać ormiańscy mnisi i pu-



Chachkar, ormiańska stela przy kolegiacie w Kartuzach, uroczyscie przekazany dar społeczności ormiańskiej miasta i powiatu kartuskiego | fot. Wojław Brydak

stelnicy. Być może już w V wieku rozpoczęto w Jerozolimie budowę sanktuarium świętego Jakuba, które Ormianie nazywają katedrą świętych Jakubów, po ormiańsku: *Syrpoc Hakobjanc taczar*. Nazwa bierze się stąd, że w katedrze spoczywają szczątki dwóch apostołów: Jakuba Starszego (zwanego także Większym, chodzi o starszego brata św. Jana Ewangelisty) oraz Jakuba Młodszego (Mniejszego, rybaka z Galilei).

W pierwszej połowie VI wieku do Jerozolimy zaczęli przybywać ormiańscy kupcy i rzemieślnicy. Jednakże w roku 551, podczas soboru w Dwinie, ormiańscy duchowni podjęli decyzję o zerwaniu kontaktów z Kościołem powszechnym tworząc niezależny od Rzymu jak i od Bizancjum, Kościół narodowy. W następstwie tego wydarzenia Grecy uznali Ormian za heretyków i wygnali ich z Jerozolimy. W VII wieku sytuacja się zmieniła, gdy Palestyna została podbita przez Arabów. Do mocnego usadowienia się żywiołu ormiańskiego w Jerozolimie przyczynił się podbój Ziemi Świętej, dokonany pod koniec XI wieku przez krzyżowców.

W książce Claude'a Mutfiana znajdujemy fotografie przedstawiające kościoły i klasztory ormiańskie nie tylko mieszczące się w Jerozolimie, ale także leżące dalej, jak na przykład klasztor ormiański w Betlejem, a także zlokalizowane w historycznej Armenii (klasztor w Gandzasarze na terenie Górskiego Karabachu czyli Arcachu), czy też w dzisiejszej Turcji (kościół w Achtamarze, na wyspie jeziora Wan). Jak i wspaniałą katedrę we Lwowie nawiązującą do dziejów polskich Ormian.

Apostolski Kościół Ormiański ma obecnie czterech duchowych zwierzchników: dwóch katolikosów (w Eczmiadynie na terenie Republiki Armenii oraz w libańskim mieście Antelias), a także dwóch patriarchów, rezydujących w Jerozolimie i w Stambule (Konstantynopolu). Patriarchat jerozolimski, położony tuż przy katedrze świętych Jakubów, posiada bogaty zbiór starych rękopisów, ustępujący liczbą manuskryptów tylko erywańskiemu Matenadaranowi.

Jerozolima mieści w sobie największe centrum kultury ormiańskiej leżące poza granicami Armenii. Spotkanie w Gdańsku było udane, jej słuchaczom pozwoliło na przybliżenie wiedzy na temat ormiańskiej Jerozolimy, Wenecji i tradycji ormiańskiej.

Maciej Żakiewicz

Krajoznawstwo

Wojśław Brydak

Dla pokolenia mojego ojca turysta to był gość, który radośnie taszczy plecak o masie trzydziestu kilo z hakiem. W górach, wpatrzony w panoramę z podszczytowej polany, rozbija namiot, umie ten namiot okopać, o zmierzchu rozpala ognisko, rankiem medytuje nad leśnym źródłem, dyskutuje z wiewiórką na drzewie, a krzepi się – kiedy los sprzyja – mlekiem prosto od krowy, które w zapadłej wioszczynie podsunie życzliwy gospodarz.

W pokoleniu młodszym – moim – mawiało się o takich „prawdziwy turysta”. Był to rodzaj honorowej odznaki, co my, szczeniaki, braliśmy pod uwagę. I nic dziwnego, bo podążając ścieżkami „prawdziwych turystów” można się było odróżnić od turystycznego plebsu, który po wojnie obficie wyciekał z różnych zorganizowanych wywczasów. Ich uczestnicy nie umieli porządnie przeczytać mapy, pod górę nie chadzali w ciężkich butach, bo po co, za to w pobliżu kozic bądź niedźwiedzi darli się w niebogłosy, a śmieci gdzie popadnie. Niepisany kodeks dotyczący gór, od tatrzańskiej Osobitej po rusińską Howerlę, był dla nich bytem nieznanym. Gorzej, bo gdyby o nim mieli pojęcie, to popukaliby się w głowę. Aż chce się płakać na nutę „hej, były czasy, były”...

No były, owszem, były, ale się minęły.
Jednak trzeba tu dodać parę słów.

Za lat szczeniawych mojego pokolenia nie dostrzegaliśmy, że nasze wywyższanie bywa może przykre dla innych. Szlachetna legenda „prawdziwej turystyki” miała nas odróżnić od rzekomego ciemnego ludu skoszarowanego w domach wczasowych FWP. „My” byliśmy przecież romantyczni, naznaczeni tradycją, „oni” nic nie rozumieli, niczego nie wiedzieli. No, nieładnie...

Ale teraz, po pół wieku, widać coś jeszcze innego. Słowo „turysta” nie oznacza już wyśnionego bohatera szlaku, lokalnej wyobraźniowej hybrydy wywiedzionej po części od amerykańskiego traperza z książek Jacka Londona, po części zaś od galicyjskiego erudyty, przy tym kibica krakowskiej „Wisły”, władającego wszakże paroma językami oraz trochę łaciną. Dzisiaj słowo „turysta” spaceruje pod rękę ze słowami „all inclusive”, „jet lag”, „destynacja”, natomiast słowo „kocher” rozumieją już tylko nieliczni. Dzisiaj nie chodzi też o żadnego wzorcowego i wzorowego „turystę”, o pewien byt poszczególny, ale o wędrujące rzesze, zwyciężyła bowiem turystyka masowa, i to przez nokaut. Ba, dzisiaj nawet pączkuje moda na opędzanie się od złotodajnego roju turystów, spod których mrowia wręcz

nie widać samej Wenecji, żadnego tam Dubrownika, czy nawet poniektórych gór.

W pierwocinach mieszczańskiej turystyki – jeżeli liczyć od przełomu XVIII i XIX wieku – było coś wzruszającego. Mieszkańcy miast ruszali poznawać własny kraj, w którego rozległych, ale swojskich przecież potaciach widzieli – nie od wiary – egzotykę. Niestychane! Śmiałkowicie dawno już odkryli odległe zakątki na końcu świata, a tu proszę, pod boki, o rzut kamieniem... Zatem stare czasopisma nie żałowały miejsca na sprawozdania z wycieczek a to na Spisz, a to na jakąś Łemkowinę, albo Pokucie. Ludzie poważni, jak Oskar Kolberg, zapisywali tameczne opowieści, muzykę, opisywali tańce, filolodzy zaczęli się wsłuchiwać w gwary i też notowali. Za włóczęgą krajoznawczą kiedyś sporo się kryło. Romantyczną młodzież ciekawą własnego kraju znajdziemy nawet u Fredry w *Panu Jowialskim*.

Z biegiem czasu wątek jednak się wyczerpał. A dziś? Do opowiadania swoich historii rwie się każda gmina, ba, rwie się co druga zagroda z własnym doktorem habilitowanym. Ciekawość kraju i ludzi to jedno. Ale włóczęgach się krajoznawców wabiła też wolna przestrzeń, urzekająca przyroda, a przede wszystkim hipnotyzowały ta szczególna odświeżość, ów głębszy kontakt z własnym „ja”, które odczuwa niemal każdy, kto na chwilę wyzwoli się z miejskiego kieratu. Dodajmy: w czasach przeszłych wciąż jeszcze coś gdzieś „odkrywano”. Jeszcze w XX wieku – chociaż dawno skończył się czas fundamentalnych odkryć – nie raz stawiano stopę na kamieniu dotąd dziewiczym, wdrapywano się na niedostępne wcześniej góry; znacznie częściej można było tu i ówdzie poczuć się sam na sam z planetą.

Dzisiaj o takie dreszczyki trudniej. A trzeba przeszukać jeszcze jeden trop.

Ludzie zawsze chcieli się przemieszczać z miejsca na miejsce, żeby zobaczyć to i owo, ale nie wszystkich było na to stać. Kiedyś miewała szanse ledwie garstka. Tymczasem dziś, w XXI wieku w szczęśliwej Europie ludzie całymi milionami jeżdżą z miejsca na miejsce, patrzą sobie na to, i owo, i tamto, ba, na sam Neapol, gdzie ani myślą umrzeć, tylko trochę popatrzą i jadą dalej, na przykład pogapić się na norweskie fiordy. Nad starym podziałem na „prawdziwych turystów” i „stonkę” – na kapłanów i profanów – unosi się dzisiaj zapaszek stęchlizny. Poukładało się wszystko inaczej.

Owszem, wciąż można się pośmiać z zażartej wojny o „fałszygi” do Morskiego Oka, bo ani te furki tradycyjne, ani

te konie umęczone jak inni czworonożni bracia końscy, wspomaganie zaś człapiącego siwka akumulatorem i silnikiem elektrycznym – dodajmy: w imię dziedzictwa regionalnego! – to już rekord jajcarstwa. A przecież przytrafiły się jeszcze większe ściemy w dziedzinie krajoznawstwa, bo co tu powiedzieć o chwilowej a względnie niedawnej przemianie powojennych bieszczadzkich pustkowi w raj „polskich kowbojów”, „traperów” i brodatych odludków? Przecież sceną dla tej maskarady były świeżo okrwawione góry i spopielone wsie, z których ostatecznie przepędzono mieszkańców na drugi koniec kraju, za to na miejscu znalazł się dostatek przestrzeni dla domorostych „traperów”. To też już uwiędło.

Czasy naprawdę się zmieniły.

Pod Everestem tłumy, nawet kajakarze przepłynęli już Atlantyk, trudno „odkryć” jakąkolwiek nieznaną potać, a jeśli coś jeszcze zachce się „odkrywać”, to współ z ekipą telewizyjną, banerami sponsorów i troskliwie przechowywanym kontraktem. O masowych wyjazdach do Wenecji czy Dubrownika była już mowa.

Co tu kryć: stara turystyka w duchu pionierskim odeszła, bo pionierem można być tylko do pewnego momentu, w zasadzie tylko raz. Ale znaczna część współczesnej wspólnoty upodobała sobie w zamian wysiłki i sprawności sportowe. Rozpowszechnił się sport traktowany prywatnie. Nawet w skromniutkich Kartuzach zadziwia wysyp amatorów zwinności, szybkości i wiatru w uszach; rowery górskie, szosowe, terenowe, a jeszcze na promenadach wrotki, hulajnogi – no i przede wszystkim biegacze. O ludziach, którzy masowo jeżdżą po świecie, a często też po nim biegają dla przyjemności, wspinają się, nurkują, pedałużą, można wręcz mówić, no właśnie, jak? Czy jako o wspólnocie? O mrowiu? Jakiejś „neoklasie”?

Legenda szlachetnych traperów wyblakła i już nie wróci, nie ma szans. Dłużej od niej trzyma się wyobrażenie polany z bezkresnym widokiem, ogniskiem i poczucie obcowania sam na sam z planetą, w ciszy i bez świadków.

Marzenia są najtrwalsze, nawet jeśli rozsądek podpowiada co innego.

Wojław Brydak



Andrzej Kazimierz Wróblewski | ze zbioru *Portret rzeczywisty*

Orientacja na Konopnicką

Wojciech Futek

Magdalena Grzebałkowska, laureatka Grand Press, dwukrotnie nominowana do nagrody Nike, swoją literacką przygodę z książkami biograficznymi rozpoczęła od postaci Jana Twardowskiego (*Książdz Paradoks*). Potem zajęła się rodziną Beksińskich i Krzysztofem Komedą. Wędrując po szlakach przetartych już przez innych, zawsze potrafiła swoich bohaterów odkrywać na nowo i przedstawiać w sposób odmienny. Z pewnością znalazła właściwy klucz nie tylko do mniej lub bardziej skrywanych tajemnic, ale i do serc czytelników, bowiem jej kolejne książki zawsze okazywały się wydawniczymi sukcesami.

Czy udało się jej zatem odczytać na nowo wręcz klasycznie podręcznikowy mit autorki szkolnych lektur i *Roty*? Najnowszą książkę *Dezorientacje. Biografia Marii Konopnickiej* wydawca reklamuje jako bezkompromisową próbę rozliczenia się ze spiżową legendą. Czy rzeczywiście? Choć w ostatnich latach pojawiały się już próby odbioru postaci poetki (*Rozwydrzona bezbożnica* Iwony Kienzler czy *Opowieść o niezwykłej kobiecie* Zofii Hydrarolicz) to i tak biografią wręcz kanoniczną (wręcz przytłaczającą przez olbrzymią liczbę szczegółów), z którą muszą się zmierzyć wszyscy piszący o autorce *Sierotki Marysi*, jest, oczywiście, *Maria Konopnicka jakiej nie znamy* Marii Szypowskiej. Na pewno korzystała z niej i Grzebałkowska, choć jej opowieść ma zdecydowanie inny charakter, bardziej przystający do reporterskiego temperamentu autorki.

Lektura nowej biografii Konopnickiej zawiera opis – mniej lub bardziej dokładny – wszystkich ważniejszych chwil i decyzji w jej życiu, ale autorka inaczej rozkłada akcenty. Poszukuje też odpowiedzi na wiele pytań, ale równie często zostawia je bez oczywistej odpowiedzi, jedynie sugerując trop poszukiwań. I nic dziwnego, skoro wydawałoby się, że napisano o Konopnickiej tyle wzniosłych słów, że aż prosi się o przekłucie tego nadmuchanego przez ponad 100 lat – od śmierci poetki – balonika.

Dla mnie najciekawsze są jednak przede wszystkim te fragmenty, w których Grzebałkowska pokazuje codzienne życie zmęczonej i schorowanej poetki: nieustanne zabiegi o druk kolejnych tekstów i książek, dopominanie się o przyzwoite honorarium, zmagania z pogłębiającymi się kłopotami rodzinnymi i nieustającą pogoń za zwykłym domowym ciepłem i życiową przystanią.

Sporo też można znaleźć mniej znanych ciekawostek, na przykład niezbyt udany epizod szefowania przez Konopnicką pismu dla kobiet „Świt”, czy też udział w historycznym Zjeździe Kobiet Polskich (z wszystkich zaborów) w roku 1905, podczas którego wygłasza do zebranych



przemówienie i pomaga opracować memoriał dotyczący równouprawnienia kobiet. Mimo że – jak wyraźnie zaznacza to sama poetka w prywatnej korespondencji – „feministką nie jestem”.

Można w tej książce znaleźć świetne anegdoty, jak choćby o wszechobecnej, nadgorliwej cenzurze w zaborze rosyjskim, co zresztą najczęściej kończyło się poszukiwaniem przez pisarkę bardziej przyjaznych miejsc publikacji i druku – chociażby w dość wyrozumiałym pod tym względem zaborze austriackim. Bowiem cenzorzy rosyjscy (najczęściej zresztą dość słabo znający język polski) „odznaczali się monstrualną śmiesznością, potążoną z zupełną bezmyślnością”. Co skutkowało interwencjami z pogranicza absurdu, jak w przypadku zwykłej prasowej relacji z wystawnego balu, gdzie w oryginale informowano, „że na schodkach zamkowych stał rząd przepysznych drzew pomarańczowych (...)”. Czujny rosyjski cenzor uznał, że skoro pojawia się rząd, to zdecydowanie poprawniej politycznie będzie

napisać to słowo dużą literą i jeszcze dodatkowo opatrzyć go dla pewności odpowiednio pozytywnym przymiotnikiem. I w druku pojawił się w ten sposób „Opiekuńczy Rząd pomarańczowych drzewek”.

Oczywiście znacznie groźniejsza i bardziej dotkliwa dla wszystkich piszących, w tym i dla samej Konopnickiej, bywała wtedy cenzura zakazująca na terenie nie tylko Warszawy, ale i całego Królestwa Polskiego, druku gotowych tekstów i książek, co zdarzało się wyjątkowo często. Stąd liczne próby ocenzurowanych autorów druku na przykład w Petersburgu, w wychodzącym tam polskim tygodniku „Kraj”, lub wysyłka tekstów do Krakowa czy Lwowa, pod zmienionymi nazwiskami.

Niewątpliwie do dziś najbardziej rozpoznawalnym chyba przez wszystkich tekstem Konopnickiej jest *Rota*, który poetka napisała w roku 1908, między innymi w proteście przeciwko przyjętej przez pruski sejm antypolskiej ustawie wyłączeniowej. Okoliczności powstania *Roty* i jej druku w różnych wersjach opisuje Grzebałkowska w jednym z rozdziałów, pozostawiając jednak pewien niedosyt. Niektóre źródła przywołują bowiem jako pierwotną genezę *Roty* tragiczne wydarzenia z Wrześni z roku 1901, związane z represjami wobec polskich dzieci, które zaprotestowały przeciwko nauczaniu religii w języku niemieckim. Jednak data pierwszego wydruku *Roty* nie pozostawia żadnych wątpliwości, bowiem to na pewno rok 1908 (choć w kilku różnych miejscach i pod różnymi tytułami). Brakuje też w tym rozdziale puenty związanej choćby z pierwszym publicznym wykonaniem tej pieśni, do której muzykę skomponował Feliks Nowowiejski. To się odbyło 15 lipca 1910 roku w Krakowie, na placu Matejki, podczas uroczystości 500-lecia bitwy pod Grunwaldem i odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego. Otóż pieśń wykonał wtedy, pod batutą samego kompozytora, wieloosobowy chór składający się z mieszkańców wszystkich trzech zaborów. A przecież nieco później, już po odzyskaniu niepodległości, *Rota* była poważną konkurentką *Mazurka Dąbrowskiego*, kiedy decydowano o polskim hymnie; to stosunkowo mało znany wątek.

Żałuję też, że dosłownie trzydziestodwuletni rozdziałik „Prawie posętka”, związany z kandydowaniem malarki, działaczki społecznej, feministki Marii Dulębianki (której losy nierozdzielnie – przez dwie dekady – wiążą się z życiem Marii Konopnickiej, aż do śmierci poetki) do galicyjskiego sejmu, puentuje tę historię dość enigmatycznym (zwłaszcza dla młodszych czytelników) stwierdzeniem, że „jej wynik zostaje unieważniony ze względów proceduralnych”. Aż prosiło się, żeby tę opowieść, niezwykle ciekawą – zwłaszcza jak na tamte czasy – choć trochę rozbudować i wyjaśnić, zwłaszcza w kontekście walki o równe traktowanie płci, z którą – w książce Grzebałkowskiej – utożsamiają się na równi obie, i Konopnicka, i Dulębianka. Otóż warto w związku z tym przypomnieć, że prawa wyborcze przyznano

przecież Polkom dopiero po odzyskaniu niepodległości w roku 1918. Jak zatem było możliwe, by Maria Dulębianka dekadę wcześniej wystartowała jednak w sejmowych wyborach? Otóż wykorzystano pewną lukę prawną, bowiem okazało się, że w ówczesnej ustawie wyborczej wymieniono szczegółowo całe grupy wykluczonych z kandydowania (np. skazanych sprawców przestępstw), ale nie wspomniano w ogóle o kobietach. Twórcy tej ustawy, oczywiście mężczyźni, nie przewidzieli jednak szybko rosnących w siłę ruchów kobiecych na przełomie XIX i XX wieku. Zaangażowane w sprawę działaczki stworzyły więc Komitet ds. Równouprawnienia Kobiet, który wystawił jako swoją kandydatkę właśnie Marię Dulębiankę, doskonale zdając sobie sprawę, że cała kampania będzie raczej formą pewnej demonstracji politycznej i happeningu. Ale przygotowano się do tego profesjonalnie. Wydrukowano nawet wyborcze plakaty, zachęające do głosowania przy wyborach na kobietę i zapraszające na wiec, na którym Dulębianka zaprezentowała swój wyborczy program, nie ograniczający się jednak – jak by się można spodziewać – do agitacji za równouprawnieniem, ale m.in. postulujący również działania na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę oraz podjęcie aktywnej współpracy polsko-ukraińskiej. O dziwo, kandydaturę Dulębianki, oprócz organizacji kobiecych, poparło wtedy również Polskie Stronnictwo Ludowe. W efekcie uzyskała ona ostatecznie 511 głosów (w tym 411 od mężczyzn), choć jej nazwisko formalnie usunięto wcześniej z listy wyborczej!

Wszystkie moje uwagi nie umniejszają wartości tej pozycji, entuzjastycznie przyjętej przez czytelników, bowiem liczne spotkania z autorką gromadzą tłumy. Podzielałam ten entuzjazm, zwłaszcza, że bohaterka kolejnej książki Magdaleny Grzebałkowskiej z jednej strony jest postacią ikoniczną, wręcz pomnikową – jako autorka licznych lektur szkolnych i rozpoznawalnych fraz literackich, z drugiej zaś – jej prywatne życie, pełne trudnych wyborów i decyzji, wciąż jest stosunkowo mało znane. A jak tytaniczną pracę musiała wykonać autorka, odkrywając zwłaszcza te nieco mniej znane karty z życia Konopnickiej oraz starannie dobierając materiały źródłowe, wyraźnie dowodzi niezwykle bogata bibliografia, obejmująca blisko 100 pozycji. I jak bardzo chciała się ona przy pisaniu wczuć w ducha epoki, niech zaświadczy z kolei fakt, że wypożyczyła gorset, bieliznę i suknię – „strój, jaki mogła nosić Maria Konopnicka pod koniec XIX wieku”, w którym przemierzała ulice Warszawy, jadła i pisała. Czy była wtedy jeszcze bardziej „zorientowana na Konopnicką”? Czy pomogło jej to w pełniejszym opisie „barwnej, pełnej życia, na wskroś współczesnej kobiety – buntowniczej, feministki, artystki”? Bo na pewno nie zaszkodziło i w niczym nie zdeorientowało.

Wojciech Fułek

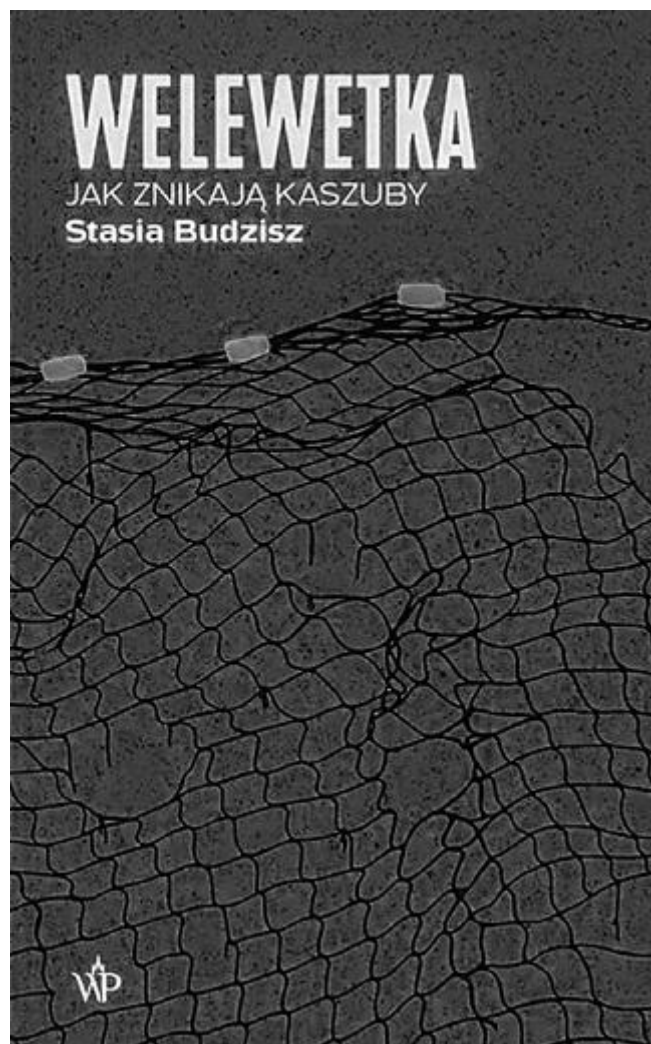
Kaszuby i Kaszubi

Wojciech Fułek

Choć urodziłem się i mieszkam do dziś w mieście, którego historia zaczęła się od kaszubskiej wsi rybackiej i w którym założono pierwsze muzeum kaszubskie (przez Aleksandra Majkowskiego w roku 1931), to jednak mój powojenny Sopot nigdy mi się nie kojarzył z Kaszubami, ani etnograficznie, ani geograficznie, ani językowo. Nikt z moich szkolnych kolegów ani koleżanek nie pochodził z kaszubskiej rodziny i nie mówił po kaszubsku, bo większość powojennych sopocian to przecież przybysze z zupełnie innych światów. Już częściej zdarzało mi się – jeszcze w latach 60. usłyszeć na sopockich ulicach, w sklepach, czy nawet w kościele język niemiecki (mówili nim niektórzy starsi mieszkańcy Sopotu czy Gdańska nazywani przez innych najczęściej – z pewną, wyraźnie odczuwalną nutą wyższości – „autochtonami”). Ale w moim rodzinnym domu na półkach nie zabrakło *Bedekera Kaszubskiego* Róży Ostrowskiej i Izabeli Trojanowskiej (pierwsze wydanie z roku 1962), choć prawdziwą fascynację Kaszubami przeżywałem już jako dorosły, wciąż odkrywając wokół kolejne ciekawe historie, miejsca, oryginalne nazwy i legendy.

Dlatego tej książki nie mogło zabraknąć wśród moich „kaszubskich” lektur i nie mogło jej też zabraknąć na naszych ławach. Również z tego powodu, że Kaszuby – choć mieszkańcom Pomorza przecież niezwykle bliskie, również kulturowo, wciąż pozostają jednak dla wielu bardziej letnią atrakcją turystyczną i barwną folklorystyczną ciekawostką, niż realną krainą, zaludnioną przez prawdziwych Kaszubów. *Welewetka. Jak znikają Kaszuby* Stasi Budzisz to książka niezwykle osobista, związana z wypieraną przez lata kaszubską tożsamością i rodzinnymi korzeniami autorki, ale jednocześnie pozwalająca trochę lepiej rozumieć fenomen kaszubszczyzny – językowej i etnicznej odrębności, trudnej historii, także legendy, zwyczajów, wierzeń ludowych i mitów – skonfrontowanych z rzeczywistością i prawdą. „Kompleks kaszubski nie jest niczym nowym” – pisze autorka, przyznając, że w jej domu rodzinnym najczęściej mówiono „polkaszem”, czyli mieszkanką polskiego i kaszubskiego. I dodaje, że ten kompleks „dojrzał w nas, Kaszubach, latami, żeby nie powiedzieć wiekami. Winę można rozłożyć na wszystkich. I na Niemców, i na Polaków, i na Kaszubów”.

Rodzinna opowieść staje się jednocześnie doskonałym pretekstem do przybliżenia szerszej historii kaszubskiego ludu (zdecydowanie wolę to, niż nazywanie Kaszubów „grupą etniczną”). A ta historia – zapewne ku zaskoczeniu części czytelników – sięga dość głęboko w przeszłość, bo Kaszubi przybyli nad Bałtyk i osiedli tu na stałe już między



VI a VII wiekiem. A sama nazwa Cassubia pojawiła się po raz pierwszy w papieskiej bulli z 1238 roku. To jednocześnie pewna cezura historyczna, a od dwóch dekad data jej podpisania, 19 czerwca, jest również oficjalnym świętem – Dniem Jedności Kaszubów. Ale autorka jednocześnie – za kanoniczną już dziś *Historię Kaszubów w dziejach Pomorza* Gerarda Labudy – przypomina nam, że Kaszubi „mniej więcej w połowie XIII wieku przestali być gospodarzami na swojej ziemi i stali się zaledwie jej etnicznym urozmaicheniem”. Ta książka to zaproszenie do fascynującej podróży przez wieki kaszubskiej obecności na pomorskiej ziemi, historii, w której Kaszubi byli najczęściej obcymi – zarówno dla Prusaków czy Niemców, którzy usiłowali ich germanizować, jak i dla Polaków, którzy często ich język uważali za „zepsuty” polski, a zwyczaje, obrzędy czy legendy – za

wręcz pogańskie. A odzyskanie przez Polskę niepodległości i wytyczenie nowych granic II Rzeczypospolitej, wcześniejsze podziały tylko zaostriżyły i pogłębiły wzajemną nieufność. Bo tu „nie każdy chciał zostać w Niemczech, tak jak nie każdy chciał trafić do Polski”.

Młodzi Kaszubi, wcieleni do wojska, na froncie walczyli przecież w pruskich mundurach, po zakończeniu wojny biegle mówiąc po niemiecku, a większość z nich polskiego nie знаła w ogóle. To Polska przyszła do nich, a nie oni do Polski. Często zdarzało się, że wytyczona przez Traktat Wersalski granica rozdzielała nawet majątki, rodziny i bliskich – część pozostawała po stronie niemieckiej, część stała się obywatelami nowej Polski. Po raz kolejny Kaszubi stawali się nawet nie mniejszością narodową, a „etniczną grupą”, która podlegała – w zależności od tego, po której stronie granicy się znaleźli – urzędowej germanizacji lub polonizacji. W podobnej sytuacji Kaszubi znaleźli się po zakończeniu II wojny światowej – nie można było im w pełni ufać, bo duża część z nich walczyła przecież całkiem niedawno – co z tego, że zmuszona – w niemieckich mundurach. Przysłowiowy dziadek lub wujek z Werhmachtu to historia niemal każdej kaszubskiej rodziny.

Kaszubi byli od zawsze skazani na pewnego rodzaju przymusową kolonizację i nigdy do końca nie mogli się czuć pełnoprawnymi gospodarzami kaszubskiej krainy. Każda władza traktowała ich bowiem najczęściej dość protekcyjnie i instrumentalnie, usiłując całkowicie podporządkować własnej wizji. Dlatego też nieufnie, z lękiem i z wielką ostrożnością Kaszubi podchodzili do zmieniających się granic i kolejnej władzy, żadnej nie uznając w pełni za swoją. W równej mierze – trzeba to dziś uczciwie przyznać – na przestrzeni lat doznawali wielu krzywd zarówno od Niemców jak i Polaków, nie mówiąc już o zwycięskich hordach Armii Czerwonej, która traktowała ich ziemię jako teren podbity, a ich jako wrogów – w związku z czym rabunki, rozboje, gwałty i morderstwa były tu na porządku dziennym i nocnym.

Po wojnie Romowie, Tatarzy, Karaimi, Łemkowie, Ślązacy czy Kaszubi mogli istnieć tylko pod ciężkim płaszczem polskości i całą swoją odrębność wyrażać przy pomocy nieszkodliwego folkloru. Inność trzeba było poskromić, skanalizować, podporządkować władzy

pisze autorka. Kaszubski folklor stał się w ten sposób również sprawą polityczną, a jego powojenne losy odstawiają niezwykle ciekawą historię kaszubskiego stroju ludowego. Okazuje się bowiem, że ten, jaki znamy dziś, nigdy wcześniej realnie nie istniał i jest bardziej symbolem i wymysłem PRL-owskiej socjalistycznej i kulturowej propagandy, niż historycznym strojem Kaszubów. W roku 1949, w pawilonach wystawienniczych przy moło w Sopocie, odbywał się Festiwal Sztuki Ludowej. Etnografowie (oczywiście w ich gronie zabrakło rdzennych Kaszubów) przygotowali

z tej okazji swoją propozycję nowego kaszubskiego stroju ludowego, która jednak nie przypadła do gustu ówczesnym politycznym decydentom, bowiem:

Kaszubska ludowość miała udowadniać polskość Kaszub, a nie pokazywać ich odrębność. Polski folklor miał być jednolity, miał wzmacniać poczucie polskości i być jedyną dopuszczalną formą kultury, w tym także kaszubskiej,

jak możemy przeczytać w książce. W związku z tym ostateczny wygląd regionalnych strojów ludowych był zawsze przygotowywany i zatwierdzany odgórnie. Tak stało się też z wzorcowym strojem kaszubskim, opracowanym ostatecznie przez warszawskich etnografów i przykrojonym do obowiązującego wówczas modelu polskich strojów ludowych. Ministerstwo Kultury i Sztuki zatwierdziło go centralnie w roku 1954, w wyniku czego przestano do Kartuz 12 kompletów męskich i damskich świetlicowo-estradowych strojów kaszubskich, które stały się od tego czasu masowo powielanym wzorem. Autorka *Atlasu polskich strojów ludowych*, Bożena Stelmachowska pisze wręcz o „zjawisku kostiumologicznym, które w Polsce dotychczas nie miało precedensu”. To określenie dla wielu może stanowić pewien szok kulturowy, ale faktem jest, że w kaszubskim stroju ludowym tylko nakrycia głowy (damskie czepce, wyszywane ozdobną nicią i męskie – rybackie szyprówki, noszone zresztą do dziś oraz baranie *mùce*) są elementami oryginalnymi, historycznymi. Podobnym zdziwieniem dla niewtajemniczonym jest historia rozpoznawalnego lokalnego haftu, który – jako „oryginalny haft kaszubski nigdy nie istniał i został wymyślony jako produkt”. Z kolei najbardziej rozpoznawalne dziś kaszubskie instrumenty ludowe – diabelskie skrzypce i burczybas – dziś wyposażenie każdej ludowej kapeli z terenu Kaszub – przecież nie wchodziły w skład podstawowego miejscowego instrumentarium. Historycznie w obrzędach kaszubskich pełniły one bowiem rolę instrumentów wyłącznie o charakterze rytualnym, związanym z kultem zmarłych i ich oryginalne dźwięki służyły do odstraszenia złych duchów. Zatem to, co dziś prezentują na scenach dość liczne kaszubskie zespoły pieśni i tańca, to tylko estradowa stylizacja. Trudno w tym przypadku nawet mówić o kulturowym dziedzictwie, skoro jest ono dość problematyczne.

Budzisz stara się swoich czytelników wprowadzić w świat kaszubski sięgając w pierwszej kolejności do swojej rodzinnej historii. Wtajemnicza ich również w mniej znane fakty, legendy i kaszubską mitologię. Oczywiście ci bardziej dociekliwi powinni dalej powędrować zaproponowaną przez nią drogą, bo to świat, bez wątpienia, wart nie tylko powierzchownego poznania. Kto bowiem zdaje sobie sprawę, że Kaszubi mają własnego władcę morskich głębin, bo nie jest nim ani Neptun, ani Posejdon, tylko *Gosk*? Kto wie, że kiedyś kaszubszy rybacy z Półwyspu Helskiego, kiedy brakowało drewna, palili czasami odłamkami bałtyckiego bursztynu

(czyli jantarem), wyłowionymi najczęściej siecią wraz z rybami lub zebranych na plażach po sztormie? Kto wie, jaką rolę w mitologii kaszubskiej odgrywają olbrzymy – *stolemy*, skąd gryf wziął się w herbach Pomorza i Kaszub, kto to są *Smętek* i *Purtek*, a kto *Borowa Ciotka* i co to są *klumpy*? Stasia Budzisz słusznie alarmuje też, że „Kaszuby milkną”, bo kaszubski powoli umiera i znajduje się na międzynarodowej liście języków zagrożonych wyginięciem. Opisuje również narastający konflikt pomiędzy dwoma organizacjami – zasłużonym Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim oraz znacznie bardziej radykalnym Stowarzyszeniem Kaszubska Jedność (*Kaszëbskô Jednota*), które domaga się, aby Kaszubi ustawowo zostali uznani za mniejszość etniczną, choć „sami uważają się za naród, tyle że bez państwa”, jak możemy przeczytać w *Welewetce*. Ten podział organizacyjny, walka na symbole (obydwie organizacje posługują się nawet odmiennymi flagami i innymi hymnami), a przede wszystkim spór o idee i kwestie tożsamości, na pewno nie przysłuży się sprawie Kaszubów w dłuższej perspektywie. Nie może być zatem mowy w tej książkowej opowieści o jedności kaszubskich poglądów i idei również współcześnie, bo przecież „nie ma jednej opowieści o Kaszubach”.

Tytułowa *Welewetka* to żeńska forma imienia *Welesa*, słowiańskiego boga śmierci. To również tytuł kaszubskiej piosenki, która wiąże się z kultem przodków, a jej słowa opisują, poprzedzającą wspólną zabawę, ucztę ofiarną. Taką przynajmniej interpretację tego tytułu narzuca nam sama autorka, pozostawiając nas z problemem znikających Kaszub. Ale czy ten proces znikania uda się jakoś zatrzymać, z pewnością nie zależy tylko od samych Kaszubów.

Dziś – dla każdego mieszkańca Pomorza Kaszuby stanowią niewątpliwie istotny punkt odniesienia, a Kaszubi – choć sobie chyba do końca tego nie uświadamiamy – są ważnym elementem budowania lokalnej tożsamości, nawet jeśli sami do ich grona się nie zaliczamy. Dla większości Polaków to jednak głównie atrakcyjna „destynacja” z przewodników turystycznych, idealna na letni wypad lub urlop. Dla jednych i drugich powinna to być jednak obowiązkowa lekcja historii, której nas nigdy nie uczono w szkołach. Dlatego ten brak musimy wszyscy teraz pilnie nadrobić. Jedną z lektur obowiązkowych (choć na pewno nie wyłączną) na pewno powinna być książka Stasi Budzisz.

Wojciech Fułek

Stasia Budzisz, *Welewetka. Jak znikają Kaszuby*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023, ss. 300, seria reporterska „Rzeczywistość wciąga bardziej niż fikcja”



Andrzej Kazimierz Wróblewski | ze zbioru *Portret rzeczywisty*



Andrzej Kazimierz Wróblewski | ze zbioru *Portret rzeczywisty*

Czas Otwarcia

Laureaci II edycji Ogólnopolskiego Programu Dotacyjnego Artystyczna Podróż Hestii:

Ogólnopolski Program Dotacyjny Artystyczna Podróż Hestii skierowany jest do instytucji kultury i artystów planujących otwarcie wystaw o przesłaniu nawiązującym do wspólnej odpowiedzialności za świat, w którym żyjemy. Osoby ubiegające się o wsparcie Programu Dotacyjnego Artystyczna Podróż Hestii powinny poszerzać i ugruntowywać wiedzę społeczeństwa na temat zmieniającego się krajobrazu społecznego i środowiskowego oraz aktywizować społeczności lokalne. Istotne jest też, by ich planowane działania uwrażliwiały na wspólnotowość oraz zwiększały zainteresowanie aktualną problematyką globalnych zmian, przekazywaną językiem sztuki.

Po sukcesie pierwszej edycji największego projektu Fundacji Artystyczna Podróż Hestii, w kolejnym naborze zgłoszono niemal 200 projektów z całej Polski. Zarząd fundacji, przy wsparciu Rady Doradczej, wyłonił te, które otrzymają wsparcie w kolejnych kilkunastu miesiącach. Są to:

- Wystawa „Snutka łączy” Agnieszki Grygiel w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Nie-widomych im. Synów Pułku w Owińskach,
- Wystawa „Jaszczurka zwiastuje krótkotrwałe szczęście” Małgorzaty Rittersschield w Fundacji Artion w Warszawie,
- Wystawa „ciepło-zimno” w Fundacji Kraina w Warszawie,
- Wystawa „Ukryte Parametry”, zgłoszona przez Stowarzyszenie Nów. Nowe Rzemiosło,
- Wystawa „Tkająca inteligencja” Agnieszki Piłat w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi,
- Wystawa „Przepraszam za bałagan” Michaliny Bigaj na Zamku Królewskim na Wawelu,
- Wystawa „Migotliwość synaps: neuroróżnorodne doświadczanie świata” w Trafostacji Sztuki w Szczecinie.

„Snutka łączy” Muzeum Regionalne w Jarocinie 07 kwietnia – 30 czerwca 2025

Rzemiosło tradycyjnie miało moc zbliżania ludzi. Część prac przy wytwarzaniu przedmiotów ma charakter wspólnego i wspólnotowego działania. Snutka golińska to rodzaj haftu, praktykowany w Golinie (okolice Jarocina) przynajmniej od połowy XIX wieku. Choć nic nie udaje i pod nic się nie podszywa, snutka golińska wygląda jak koronka. Nie jest nią jednak. Wyszywa się ją białymi nićmi na białym płótnie. Po wyszyciu zdobień wycina się prawie całą tkaninę. Nazwa „snutka” pochodzi od czynności nasnuwania czyli łączenia nicią poszczególnych motywów w obrębie kompozycji. Rzemiosło wymaga zaangażowania wielu osób i troski o to, żeby dalej pojawiali się ludzie, chcący je uprawiać. Naturalnym odruchem jest próba zainteresowania techniką nowicjuszy, przyczyniając się do uchronienia rzemiosła przed zapomnieniem. W projekcie „Snutka łączy” artystka wizualna, Agnieszka Grygiel, postanawia zrobić coś jeszcze innego. Tak jak nasnuwane nici łączą motywy dekoracyjne,



Agnieszka Grygiel | fot. archiwum organizatorów

tak snutka może mieć moc połączenia poszczególnych ludzi, którzy może nigdy by się nie spotkali.

**„Jaszczurka zwiastuje krótkotrwałe szczęście”
– 4. wystawa Małgorzaty
Rittersschild, Fundacja Arton,
Warszawa,
14 czerwca – 14 września 2025**



Małgorzata Rittersschild | fot. A. Erdheim

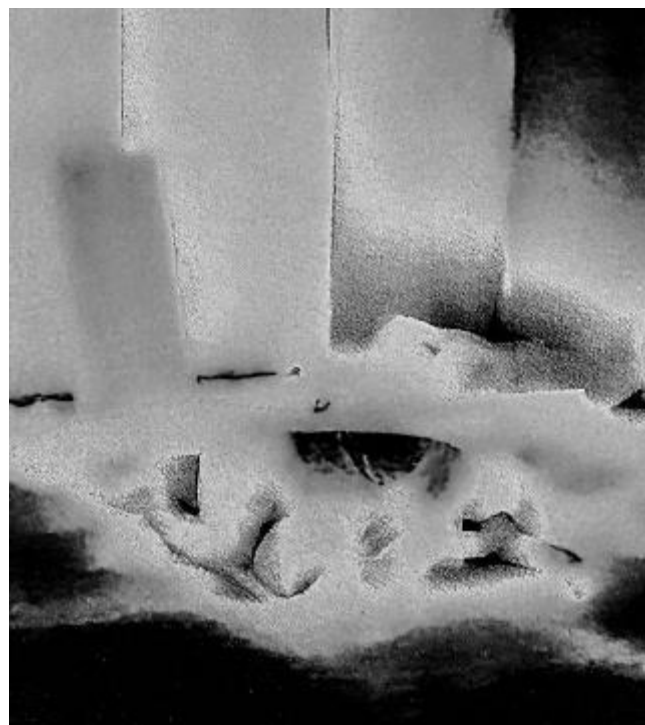
Można sobie wyobrazić osobę, np. mężczyznę, który odbywa studia prawnicze, wybija się na tle innych, ciężko pracuje, zostaje zauważony i zaczyna robić karierę. Wszystko, jak to się mówi, idzie dobrze, może nawet bardzo dobrze.

Teraz kolejne kroki – do tego, co powszechnie społecznie uznawane za spełnienie: pieniądze, znajomości i przyjaźnie, wpływy itd. Jeśli wyobrazić sobie, że ten mężczyzna musi jednak w przedwiośniu tych wszystkich rzeczy zrezygnować i zająć się czymś innym (swoim dzieckiem) to można chyba powiedzieć, że to dość nietypowy scenariusz. Spokojnie, to tylko takie myślowe ćwiczenie, przecież tak się nie dzieje. Wszystko będzie dobrze.

Taka historia i nie jest to już ćwiczenie myślowe, tylko życie, stała się udziałem wielu uzdolnionych kobiet-artystek. Wiele z nich zniknęło z mapy współczesnej historii sztuki, dokonawszy wyboru, a nieraz po prostu będąc do niego zmuszonymi. Wśród nich znajduje się Małgorzata Rittersschild, która współtworzyła Gruppę. Po pierwszych wystawach tej formacji musiała podjąć decyzję o wycofaniu się z artystycznego życia wystaw, kuratorów, katalogów i kolekcji. Przez dwie dekady podejmowała prace zarobkowe m.in. jako ilustratorka, projektantka identyfikacji wizualnej, stylistka, graficzka prasowa, tłumaczka, redaktorka, arteterapeutka w szpitalu psychiatrycznym czy nauczycielka w szkole. Wystawa „Jaszczurka zwiastuje krótkotrwałe szczęście” w Fundacji Arton jest czwartą (!) prezentacją prac artystki. W jej artystycznej i życiowej historii tkwi jednak optymizm, na który zapracowała sama. W 2018 roku powróciła do malarstwa i pełnej pracy twórczej. Sam w sobie powrót po tylu latach mógłby być uznany za wart upamiętnienia. A być może stoimy na progu przywrócenia malarki do historii sztuki, do czego wystawa w Artonie może się przyczynić w sposób decydujący.

**„Ciepło–zimno”, Fundacja Kraina,
Warszawa,
10 października – 10 grudnia 2025**

Projekt Wojtka Skibickiego i Konrada Smoleńskiego zwraca uwagę na problem niewidzialnego wymiaru miejskiej bezdomności. Osoby w kryzysie bezdomności uciekają przed osądającym wzrokiem innych i przemocą. Kryją się w śmietnikach, pustostanach, parkach, prowadząc życie w pozornie niewidzialnym świecie, który jednak istnieje tuż obok nas. Wielokrotnie dzieli nas od nich zaledwie kilka metrów, ale, niestety nie zawsze potrafimy ich dostrzec. Twórcy projektu wykorzystują technologię kamery termowizyjnej, by zarejestrować ślady ciepła ciała. Termowizyjne fotografie stają się metaforą społecznej niewidzialności i jednocześnie dowodem na uniwersalne człowieczeństwo, łączące nas wszystkich, niezależnie od sytuacji życiowej. Projekt łączy doświadczenie artystów: Wojtka Skibickiego, którego praca z osobami w kryzysie bezdomności przynosi unikalne spojrzenie na problem wykluczenia, oraz Konrada Smoleńskiego, który wnosi doświadczenie w tworzeniu wielowymiarowych instalacji artystycznych.



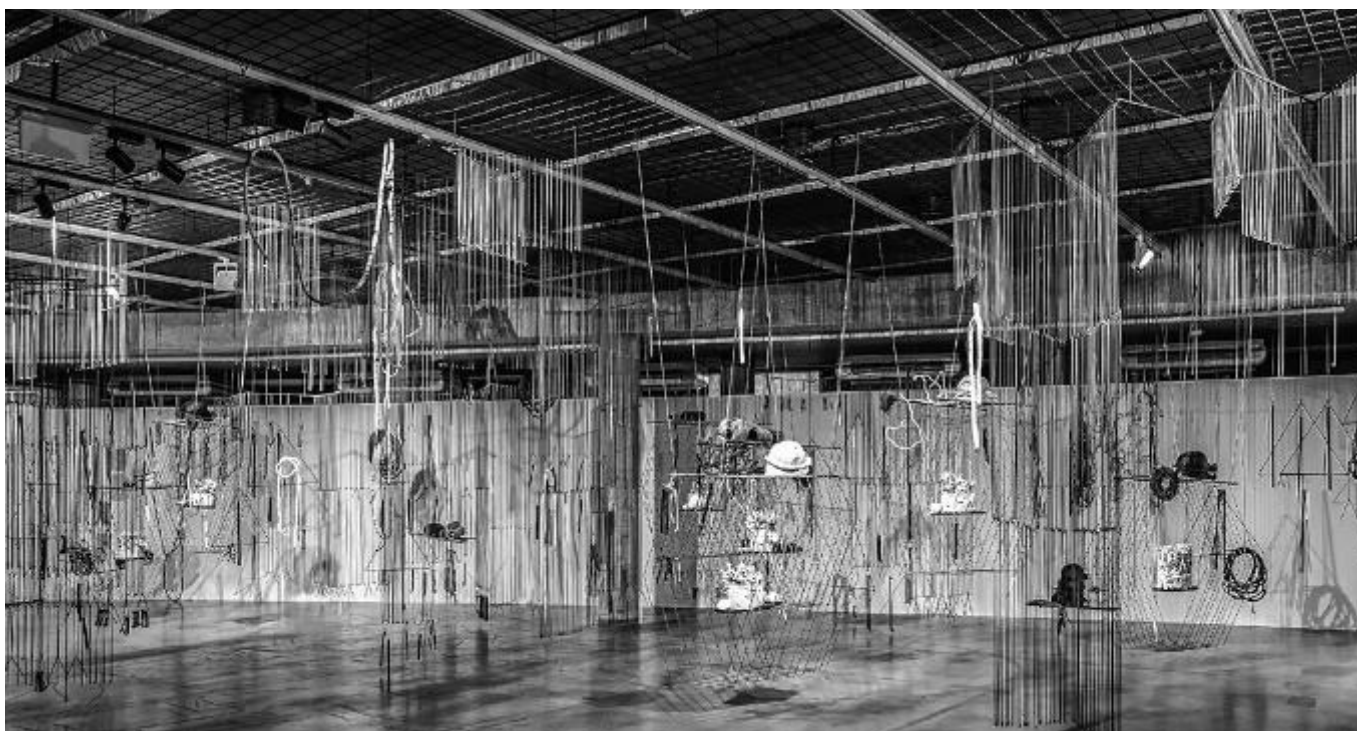
Fragment wystawy „Ciepło – zimno” | fot. archiwum organizatorów

**„Tkająca inteligencja”,
Centralne Muzeum
Włókiennictwa, Łódź,
18 października – 30 listopada 2025**

Projekt Agnieszki Piłat to fascynujące spotkanie sztuki, technologii i refleksji nad kondycją współczesnego człowieka. Wystawa, która zagości w przestrzeniach Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, rodzinnym mieście artystki, jest wydarzeniem bez precedensu w skali europejskiej. Piłat, artystka interdyscyplinarna, operuje na styku różnych

mediów, a jej twórczość oscyluje wokół tematu relacji człowieka z maszyną, ze szczególnym uwzględnieniem sztucznej inteligencji.

Wystawa w Łodzi to nie tylko prezentacja najnowszych prac Piłat, ale również zaproszenie do dialogu. Dialogu o sztuce, o technologii, o przyszłości. Artystka, wykorzystując najnowsze osiągnięcia techniki, takie jak roboty czy zaawansowane algorytmy, tworzy dzieła, które wymykają się tradycyjnym definicjom sztuki. Jej instalacje to swego rodzaju laboratoria, w których spotykają się różne dziedziny, różne perspektywy.



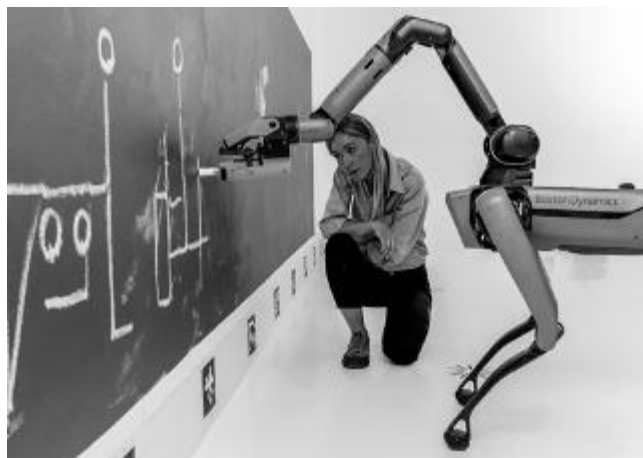
Praca Izzy Tarasewicz, wystawa „Ukryte Parametry” | fot. archiwum organizatorów

**„Ukryte parametry”,
Stowarzyszenie Nów.
Nowe Rzemiosło, Wrocław,
24 października 2025 – 15 lutego 2026**

Wystawa wynika bezpośrednio z naturalnej potrzeby budowania wspólnoty twórców i widzów, opartej na dzieleniu się realną wiedzą, czyli osobistymi doświadczeniami pracy z określonymi materiałami i technikami (pracy z drewnem, szkłem, tkaniną, ceramiką).

Tytułowe parametry mają wskazywać, że twórcy wraz z widzami będą operować na styku doświadczeń ludzkości i świata ją otaczającego. W myśleniu o przyszłości nie zabraknie inspiracji zaczerpniętych ze światów roślin, zwierząt, a nawet z tradycji duchowych.

Wystawa tworzona przez Stowarzyszenie Nów. Nowe Rzemiosło ma szansę stać się okazją do zbudowania zu-



Agnieszka Piłat | fot. archiwum organizatorów

pełnie nowego spojrzenia na świat, nad którym powinniśmy pracować już teraz, bo niedługo będzie nam naprawdę potrzebne.

„Przepraszam za bałagan”, Michalina Bigaj, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków 09 maja – 20 czerwca 2026

Projekt Michaliny Bigaj to wyjątkowo intrygująca artystyczna interwencja, która zagości na Wawelu, dotykając palącego problemu współczesności – kulinarnego wymierania. Artystka, znana ze swojego zaangażowania w tematykę kryzysu ekologicznego, tym razem zabiera nas w podróż po świecie jadalnych, zagrożonych gatunków, stawiając pytania o naszą odpowiedzialność za stan, w jakim znajduje się planeta.

Tytuł „Przepraszam za bałagan”, nabiera tu podwójnego znaczenia. To nie tylko przeprosiny za stan, w jakim zastajemy świat, ale również zaproszenie do refleksji nad naszym konsumpcyjnym stylem życia, który przyczynia się do wymierania gatunków. Bigaj, inspirując się książką Lenore Newman, tworzy wizualną opowieść o tym, co zjedliśmy lub za chwilę zjemy, a także o roślinach, które stanowią odpowiedź na ten kryzys – dzikich odmianach i tych, które nie trafiają na sklepowe półki.



Michalina Bigaj | fot. Tomasz Jurecki

„Migotliwość synaps: neuroróżnorodne doświadczanie świata”, Trafostacja, Szczecin, 01 kwietnia – 1 czerwca 2026

Twórcy projektu podkreślają, że głównym celem wystawy – i zbudowanego wokół niej programu edukacyjnego – jest afirmacja neuroróżnorodności poprzez sztukę. W dyskusji społecznej coraz częściej podejmowany jest temat neuro-różnorodności, jednak dominuje pryzmat medykaliżujący. O budowie naszego mózgu, dowiadujemy się najczęściej w kontekście diagnoz ADHD czy spektrum autyzmu, a co za

tym idzie „sposobów, jak sobie z nimi poradzić”. Jednak czy zamiast rozwiązywania tego „problemu” nie powinniśmy skupić się na własnej ciekawości?

W jaki sposób rozwija się i funkcjonuje mózg neuroatypowy? To tylko niektóre pytania, na które twórcy zaproszeni do projektu postarają się pomóc znaleźć nasze własne odpowiedzi. Otwierając nasze głowy na bardziej inkluzywnie postrzeganie neuroróżnorodności pokażą nam, że za lepszym zrozumieniem zagadnienia często idzie jego naturalna akceptacja.

Opr. Fundacja Artystyczna Podróż Hestii



Wystawa „Migotliwość synaps: neuroróżnorodne doświadczanie świata” | fot. archiwum organizatorów – s. 48



Ogłoszenie nominacji do nagrody Literacka Podróż Hestii

W tegorocznej piątej edycji konkursu wyłoniono 5 najciekawszych polskich książek z kategorii fiction, napisanych z myślą o dzieciach i młodzieży. Autorka lub autor jednej z książek otrzyma nagrodę w wysokości 50 tys. złotych.

Do tegorocznej edycji konkursu Literacka Podróż Hestii zgłoszono rekordową liczbę tytułów, dając w ten sposób Kapitułe możliwość przekrojowego zapoznania się z tym, co dzieje się na polskim rynku wydawniczym dla dzieci i młodzieży.

Po weryfikacji formalnej i merytorycznej dyskusji Kapituła wybrała następujące tytuły:

- *Chłopiec z lasu* Cezarego Harasimowicza (wyd. Agora dla Dzieci)
- *Kosma, Kopaz i leśna szkoła. Trudne początki* Agnieszki Misiak (wyd. Druganoga)

- *Makabrama* Marcina Szczygielskiego (wyd. Bajka)
- *Same dobre wróżby* Saszy Hady / wł. Aleksandra Motyka (Wydawnictwo Literackie)
- *Rybie oko* Dominiki Słowik (Wydawnictwo Literackie)

Tegorocznej, piątej edycji konkursu Literacka Podróż Hestii, towarzyszą patronaty honorowe Biblioteki Narodowej, Narodowego Centrum Kultury, Rzecznika Praw Dziecka, UNICEF Polska.

Mecenasem konkursu jest ERGO Hestia, a organizacją zajmuje się Fundacja Artystyczna Podróż Hestii w partnerstwie z Fundacją Wisławy Szymborskiej. Flagowym wydarzeniem Literackiej Podróży Hestii będzie Plener Czytelniczy w Sopocie, który w tym roku odbędzie się w sobotę 14 czerwca.



dostępność „Słowa”

Upzejmie zawiadamiamy, że kwartalnik „Słowo” jest dostępny **w Gdańsku** w Instytucie Kultury Miejskiej „Kunst wodny”, Targ Rakowy 11, w Filii Gdańskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Mariacka 42; **w Wejherowie** w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Zamkowa 2A.

ponadto w bibliotekach Województwa Pomorskiego:

w Brusach w Centrum Kultury i Bibliotece, Dworcowa 18, **w Bytowie** w Bibliotece Miejskiej, Zamkowa 2, **w Czluchowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Szczecińska 5, **w Dziemianach** w Gminnej Bibliotece Publicznej, 8 Marca 14, **w Gdyni** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Świętojańska 141-143, **w Głównych** w Gminnym Ośrodku Kultury, Kościuszki 15A, **w Gniewie** w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej, Plac Grunwaldzki 16/17, **w Helu** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Komandorska 2, **w Kartuzach** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworzec 4, **w Kwidzynie** w Bibliotece Miejsko-Powiatowej, Kościuszki 54, **w Lęborku** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Armii Krajowej 16, **w Miastku** w Bibliotece Publicznej, Dworcowa 29, **w Morzeszczynie** w Ośrodku Kultury, Kociowska 12, **w Przechlewie** Gminnej Bibliotece i Centrum Kultury, Młyńska 2, **w Pucku** w Bibliotece Publicznej, Sambora 16, **w Redzie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Derdowskiego 3, **w Skórczu** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 7, **w Sopocie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Wybickiego, Goyki 1, **w Subkowach** Gminnej Bibliotece Publicznej, Józefa Wybickiego 19, **w Sztumie** w Sztumskim Centrum Kultury, Nowowiejskiego 14, **w Tuchomiu** w Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 18, **w Wejherowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Kaszubska 14, **w Wejherowie** w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworcowa 7.

Władysław Zawistowski

Sztandar z ortalionu

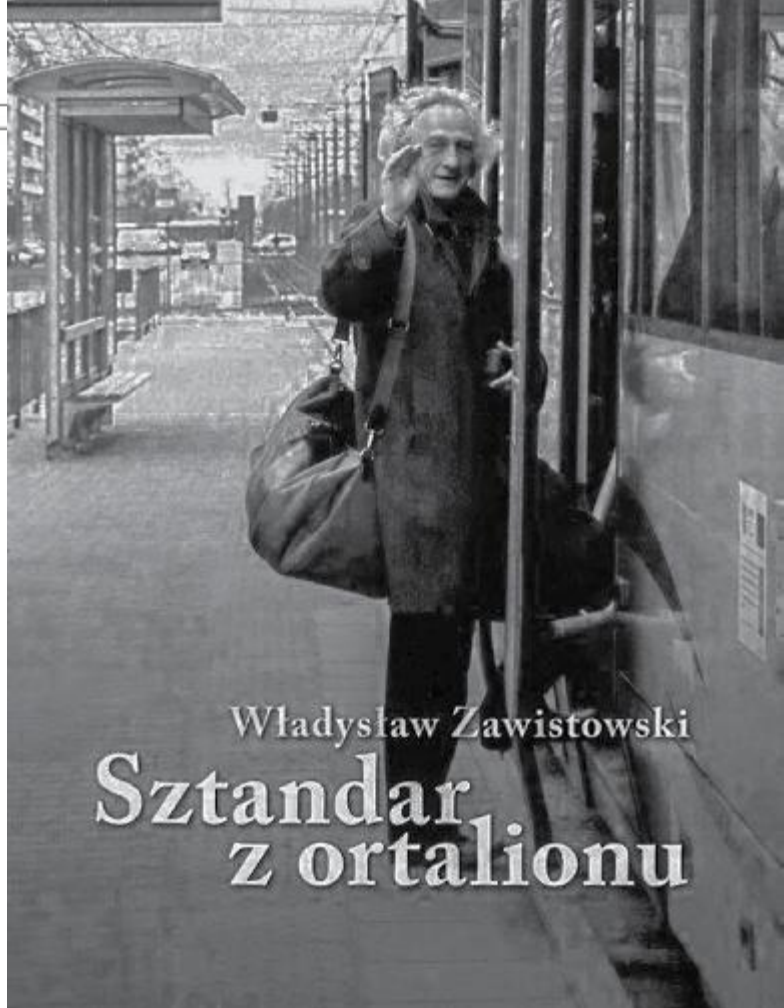
Dopiero teraz ich sobie przypominam...
wychudłych mężczyzn w ciemnych
ortalionowych płaszczach, którzy
regularnie przychodzili na zebrania
do Związku Literatów Polskich,
wyrzekając na brak stołówki i
wysokie ceny biletów tramwajowych.
Starzy poeci.

Łysi i niedogoleni, tonęli w chmurach dymu
pykając ekstra-mocne bez filtra z długich lufek
w mrocznych zakątkach kawiarni „Literackiej”,
a właściwie – w jej zawsze ciemnej piwnicy
mieszczącej jednego literata na metr kwadratowy
(trzydzieści na trzydzieści); tak nas wyceniono.
Starzy poeci.

Półgłosem rozmawiali o trudnościach
mieszkaniowych, spodziewanej obniżce
stypendiów, ślubie ułomnej wnuczki,
wyższości metonimii nad metaforą i
trudnościach z przydziałami papieru,
szczególnie dla starych, zasłużonych poetów.

Miewali ciekawe życie starzy poeci.
Ale jakoś nie umieli o nim opowiadać.
Gdyż działo się to w czasach, kiedy wszyscy
mieli za sobą ciekawe życie. A ciekawość
miała zbyt wysoką cenę, by poświęcać
dla niej literaturę.

(Zresztą jak tu tłumaczyć prawdy oczywiste:
że lepiej pracować w cieple, niż na dworze,
lepiej czernić papier, niż rąbać tajgę).



A potem głosowali; zawsze na tak
albo otaczali bohatera wieczoru
ciasnym wianuszkami łysych głów
i wzniesionych kieliszków, bez
celebry przyjmując go do naszej gildii.

Nie odmawiali poczęstunku i gorliwie
pili wódkę małymi kieliszkami,
przymykając oczy i rozglądając się
za zakąską. Starzy poeci.

Wychodzili potem zgarbieni z zebrania
i niezgrabnie przeskakując kałuże wracali
do swoich ułomnych wierszy i wnuczek,
mieszkań z trudnościami, niespełnionych nadziei
i książek, którym nigdy nie przydzielono papieru.

Heroiczni, jak to deszczowe miasto,
krzywa ulica Mariacka, kolejna jesień,
tak trudna do przeżycia. Starzy poeci,
pośród kałuż wysoko niosący
swoją dumny sztandar z ortalionu.

Poeta, dramaturg, powieściopisarz i tłumacz – Władysław Zawistowski – obchodził 27 maja 2025 półwiecze swego debiutu literackiego. Dołączamy się do życzeń, pełni podziwu dla pisarskiej wrażliwości jubilata, dla ludzkiego i społecznego słuchu, któremu wielokrotnie dał wyraz w sztuce. Uroczyste spotkanie zorganizowała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku, a okolicznościowym prezentem było wznowienie głośnego poetyckiego tomu Zawistowskiego *Sztandar z ortalionu*, z którego publikujemy tytułową wiersz.

red.

The logo is enclosed in a square frame with thick black lines. The top and bottom lines are slightly slanted, while the left and right lines are vertical.

ERGO
HESTIA®

mecenas kultury

Słowo

Pomorski Magazyn Artystyczny



W poprzednich numerach

Małgorzata Abramowicz

Tadeusz Link – teatr we krwi

Józef Bachórz

Kraszewski na ziemi gdańskiej

Wojśław Brydak

Sowizdrzał zaminowany

Stanisław Esden-Tempski

Żołnierz fortuny

Jacek Lidwin

Obrazki z nieobecności

Zofia Watrak

Wojciech Zamiara

Na stronie 50. „Słowa”
P.T. Czytelnicy znajdą spis miejsc,
w których dostępny jest nasz kwartalnik

1/2025 (13)
Kwartalnik

ISSN 2956-3739



9 772956 373200